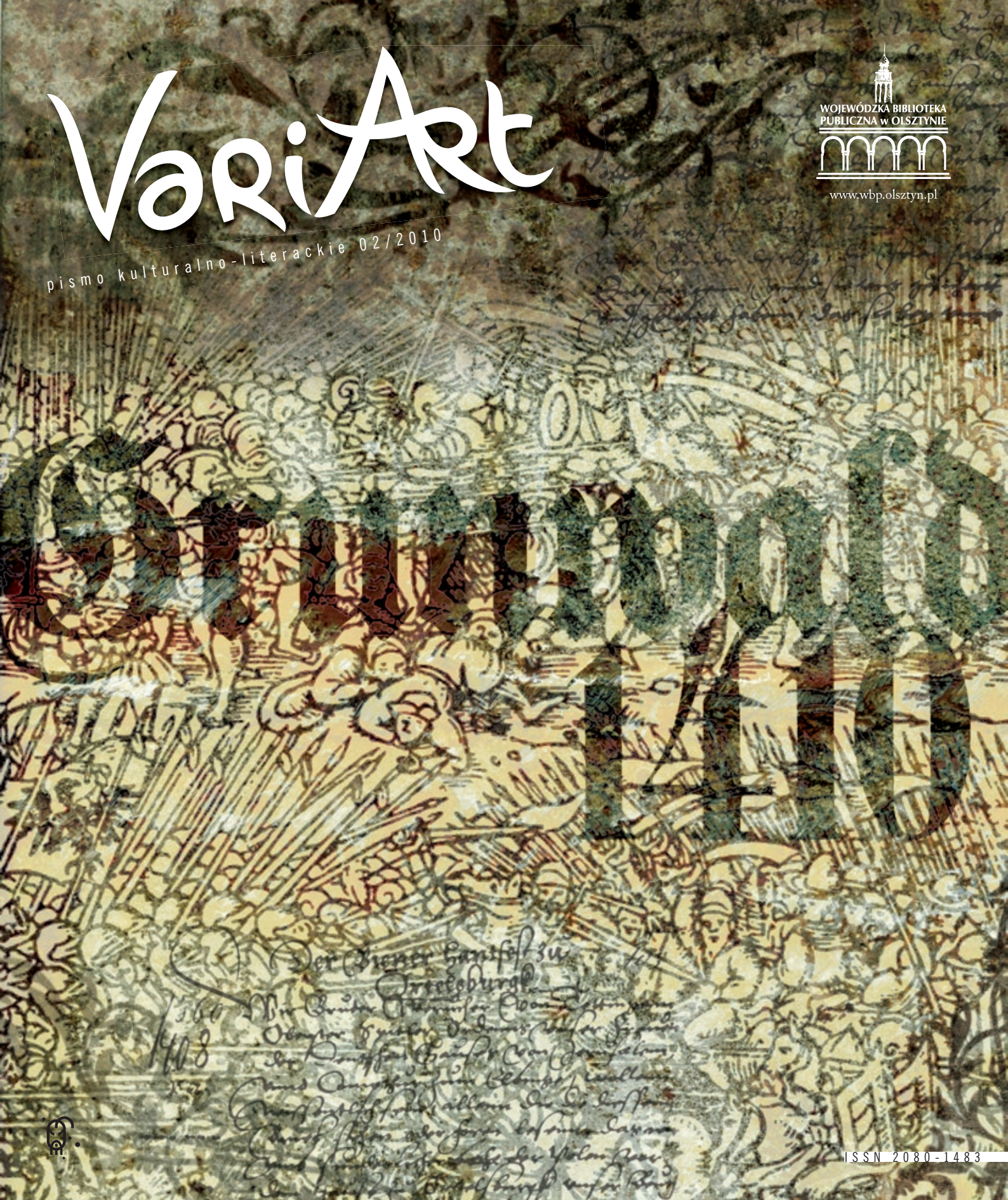


VariArt

pismo kulturalno-literackie 02/2010



www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483



Anna Rau FOTOMONTER VI

Wojewodzie Lelija herbu Płatek widząc, iż król – pierwszy miecz i tarcza rycerstwa Polski XVI-wiecznej, Jegomość Władysław – ostatnio chmurny jest bardzo a zasępiony przed bitwą z Krzyżakami lada dzień się odbyć mającą, wpadł na koncept, iż ulży wszelkim możliwym staraniem monarszym frasunkom. Pewnego wieczora, pierwszego dnia miesiąca lipca Anno Domini 1410, poszedł śmiało do królewskiego praktycznego acz eleganckiego namiotu podróznego, opowiedział się stosownie i śmiało przed majestat wkroczył. Król Władysław właśnie radził nad czymś ze swoim kruczwłosym bratem Witoldem, Wielkim Księciem Litewskim, którego natura dzika a gwałtowna, choć sprawiedliwie przyznać trzeba – jednako hojna i wylewna, dzikim błyskaniem oczu zwykła się okazywać. Niniejszym Wielki Książę błyskał bardzo.

Król Jegomość za to, choć z tego samego pnia zrodzony, naturę miał skrytą, podstępą – jak niektóre jaszczurcze języki powiadają – acz w chwilach ku temu stosownych mowę potrafił dyplomatyczną i gładką stosować.

- Co tam, ma Lelijo – rzekł król, rzucając na niego przenikliwe spojrzenie siwych oczu znad papierów jakowychś, które ukradkiem acz uporczywie od dłuższej chwili usiłował wyszarpnąć z zaciśniętych palców swego brata.

- Królu i panie – zakrzyknął wojewodzie i zamilkł onieśmielony nagle – onieśmielony tym bardziej, że Wielki Książę Litewski wypuścił wreszcie one kartelusze i pospiesznie zatkał sobie uszy. – Królu i panie – powtórzył Lelija półgłosem – i ty, jaśnie Wielki Książę Litewski, szlachetna podpora panującego nam tu i tam, w Krakowie, króla Władysława Jagiełły zwanego, drugiego Władysława z kolei w naszej prześwietniej genealogii panujących w Polsce...

- Do rzeczy – przerwał mu sucho Jagiełło. (Tu dodać należy, iż suchość owej wypowiedzi nie oznaczała bynajmniej, że król miłościwy wściekły jest lub zgoła niezadowolony. W chwili bowiem, gdy odzyskał pełną władzę nad papierami tajemnymi, o które siłował się z bratem swym znakomitym, wpadł był w szampański humor, co rozstroszeniem brwi krzaczastych nad orlim nosem zwykle okazywał. Mając więc brwi bardzo rozstroszone, sucho mówił, gdyż lubił się streszczać, a wszelkiego gadulstwa jak psa nienawidził. Albo inszej gadziny, bo psy kochał okrutnie.)

„No doprawdy – pomyślał Lelija – ostatni raz ja majestatowi pomagam, skoro on muczny taki nawet i do tego, kto z sercem na dłoni przychodzi. Ale nic to, niech mi to święty Mikołaj na poczet rzeczy przyszłych zaliczy...” – głośno zaś powiedział: – Panie, my, rycerze twoi, smucim się bardzo i trwożym, skoro widzim, iż ty smutny i strwożon chodzisz, zmuszon znosić obmierzłe naigrwania Krzyżaków przed bitwą rychło odbyć się mającą, chciałem więc...

- Ha! Jakbyś zgadł! – król zerwał się i papierami rzucił w niczego nie spodziewającego się Witolda, który ledwo zdołał się uchylić przed pikującymi jak wściekły szerszeń czerwonymi lakowymi pieczęciami. – Wielki Mistrz Ulryk von Jungingen przysłał mi właśnie list,



Fresk z Władysławem Jagiełłą
i napisem Grunwald w olsztyńskim
kościółce garnizonowym.
Fot. Ryszard Sternik

w którym korzy się i przeprasza wielki naród polski oraz mnie jako jego władcę i przedstawiciela za wszelkie mordy, gwałty i bezeceństwa, których dokonali na ziemiach naszych rycerze jego zakonu, przy czym w ramach rekompensat przysięga (co poświadczają ekspresową bullą od papieża) wypłacić nam ogromną grzywnę pieniężną za wszelkie poniesione straty, oddać wszystkie zagarnięte ziemie jak też twierdzę Malbork w dodatku na letnią willę królewską nad Nogatem.

Wojewodzie Lelija po raz pierwszy w swym długim a na wskroś szlachetnym życiu zapomniał języka w gębie.

- Mistrz pragnie tylko – kontynuował władca – aby we wszystkich kronikach zapisać chwalebny wersję potyczki, gdyż chce przejść do potomności jako rycerz waleczny, który w największej bitwie Europy wziął był i zginął. Proponuje też, aby na miejscu starcia owego niedoszłego (a gdzieś pod Grunwaldem mieliśmy to odtrąbić, Witoldzie, nieprawdaż?) pomnik jakowyś trzasnąć... – „trzasnąć”, Lelijo, tak się wyrazić raczył! A jeszcze nam wszystkie swoje chorągiewki oddać obiecuje, iżbyśmy mieli czym w rocznice bitwy kościoły nasze przystrajac! Bardziej to wszystko obraźliwe, niż gdyby nam przysłał w poselstwie dwa nagie miecze!!!...

- Ja to bym się zgodził – powiedział cicho Witold.

- Ja też – dorzucił szybko Lelija, widząc, że królowi słabo.

- My też – dwaj królewscy strażnicy wsadzili głowy przez wejściowe rozcięcie namiotu.

- Ja też – szepnął szpieg krzyżacki, chwając się niebezpiecznie tuż nad królewską siedzibą na czubku osiki.

I tak się stało.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: Studio BLENAM; www.blenam.pl

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Miasta Olsztyn.



02	Fotomonter VI
04	Wywiad z Januszem Wilińskim
06	Poezja → Bożena Kraczkowska
07	Poezja → Piotr Piaszczyński
09	„Wawrzyn” 2009
10	Proza → Krzysztof Beśka
12	Dramat → Paweł Jaszczuk
16	Galeria VariArt-u → Barwy Grunwaldu
18	XX lat Instytutu Sztuk Pięknych UWM
19	Zabytkobranie
20	O kulturze w Internecie
21	Poezja → Arno Holz
22	Proza → Arkadiusz Łuba
23	Poezja → Arno Holz
24	Wywiad z Krzysztofem Szatravskim
26	Poezja → Bożena Kraczkowska
27	XXXVII Spotkania Zamkowe
28	Felieton
29	Tajemnice czarnej wdowy → recenzja
30	Droga do Grunwaldu
31	Ankieteria

Jedwabniki też walczą!

Grunwald zobowiązuje. Rycerze w boju. VariArt dołącza. Nie będzie nas, co prawda, na polu bitwy, ale walczymy w Olsztynie – piórem i obrazem. My nie Krzyżaki – o tych poczytacie w drugim akcie dramatu Pawła Jaszczuka „Ryn” oraz w nieocenzurowanym zapisie narady bitewnej, który prezentujemy w „Fotomonterze”. Artystyczne wizje wiktorii grunwaldzkiej przedstawiają malowane jedwabie w galerii VariArt-u – obrazy twórców związanych z Instytutem Sztuk Pięknych UWM.

Rok 2010 to nie tylko Grunwald – Olsztyn żyje Rokiem Feliksa Nowowiejskiego. O muzycznych inicjatywach upamiętniających kompozytora opowiadają Janusz Wiliński i Krzysztof Dariusz Szatravski. Prezentujemy również ekslibrisy przygotowane dla WBP z tej okazji.

20 lat, nie mniej, istnieje Instytut Sztuk Pięknych UWM, który prezentuje prof. Piotr Obarek. Rok temu wystartowało „Zabytkobranie”, o którym pisze Iwona Liżewska. Kilka miesięcy ma dopiero Leksykon Kultury Warmii i Mazur – o jego powstaniu i idei – Marcin Kapłon.

Rocznice rocznicami – „Wawrzyn” jest i będzie. VariArt prezentuje tegorocznego laureata (proza Krzysztofa Beśki) oraz jednego z nominowanych (poezja Piotra Piaszczyńskiego, recenzowana szorstkim piórem Anny Rau).

Oprócz tego, oczywiście: proza (tym razem Arek Łuba), poezja (Arno Holz), recenzje, felieton i ankieteria, w której przesłuchujemy bractwa rycerskie (zdradliwie wciąż walczące po stronie krzyżackiej!).

Skrzyżujmy miecze, skrzyżujmy pióra!

Redakcja



ODKRYWANIE NOWOWIEJSKIEGO

Przed kilkoma tygodniami dotarła do mnie informacja, że tegoroczną nagrodę Fryderyka w kategorii Muzyka Chóralna i Oratoryjna otrzymał album „Felix Nowowiejski: Missa Pro Pace, Missa Stella Maris”, którego współwykonawcą jest Olsztyński Chór Kameralny Collegium Musicum. Skąd pomysł na taki właśnie repertuar?

Udział w tym projekcie zaproponował mi Janusz Lewandowski, dyrektor Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii w Olsztynie. Nie jesteśmy pierwszym chórem, który otrzymał taką propozycję – w 2007 roku Benedykt Błoński z „Wawrzyczkami” nagrał „Pieśni morskie” i ludowe pieśni warmińskie Nowowiejskiego. Dla mnie ta propozycja była szczególnie interesująca z kilku powodów. Po pierwsze, była to okazja do udziału w nagraniu bardzo mało znanych w Polsce utworów. Pierwszy z nich – „Missa pro Pace” – był w Polsce co prawda znany, ale wykonywano go z towarzyszeniem organów. Tymczasem okazało się, że Stanko Premrl, narodowy kompozytor i dyrygent słoweński, z którym Nowowiejski utrzymywał bardzo bliski kontakt, tę mszę zorkiestrował. I Januszowi Lewandowskiemu udało się dotrzeć do tej partytury, która znajdowała się w bibliotece w Ljubljanie. Drugi utwór – „Missa Stella Maris” – ma również bardzo ciekawą historię. Msza ta napisana została na okoliczność poświęcenia Bazyliki Mariackiej w Gdyni i niestety nie została wykonana, bo wybuchła wojna. Syn Nowowiejskiego twierdzi, że wykonano ją w Ljubljanie, w Paryżu dwu- lub trzykrotnie, a w Polsce on osobiście słyszał ją tylko na próbach jakiegoś poznańskiego chóru. Wykonano ją co prawda w 1984 r. podczas II Dni Muzyki im. Feliksa Nowowiejskiego w Olsztynie i może gdzieś jeszcze, nie mamy takiej wiedzy, ale niemniej nie była to msza zbyt znana, a na pewno nienagrana.

Ale miałem też osobisty powód – mianowicie znałem muzykę Nowowiejskiego przez pryzmat pieśni i tych najpopularniejszych utworów, więc praca nad mszami oznaczała dla mnie z jednej strony mnóstwo pracy, sporo studiów, ale z drugiej strony możliwość rozwoju i poznania Nowowiejskiego, który był fascynującą osobowością, z trochę innej perspektywy i odkrycia jego muzyki na nowo. A poza tym jest to kolejne działanie, które popularyzuje tę muzykę, a których u nas w Olsztynie na szczęście podejmuje się coraz więcej – wymienię tylko pracę Jana Połowianiuka i Benedykta Błońskiego przy organizacji festiwalu muzyki chóralnej w Barczewie, nasze olsztyńskie starania o turniej chórów imienia Feliksa Nowowiejskiego i właśnie te nagrania. Myślę, że poprzez tego rodzaju działania mamy szansę oddać Nowowiejskiemu to, na co zasłużył przez swoją muzykę, bo jest absolutnie niedoceniony.

rozmowa z Januszem Wilińskim,
dyrygentem Olsztyńskiego Chóru
Kameralnego Collegium Musicum



Mariusz Artur Dąbski – | nagroda w ogólnopolskim konkursie na ekslibris „Felix Nowowiejski w Olsztynie” ogłoszony przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie.

Jak wyglądały Twoje i chóru przygotowania do wykonania tych utworów? Czy napotkałeś jakieś problemy interpretacyjne?

Szczerze mówiąc, podchodziliśmy do tego z dużą rezerwą – szczególnie ja – właśnie ze względu na to, że muzykę chóralną Nowowiejskiego kojarzy się głównie z pieśniami patriotycznymi i ludowymi. Nie jest to muzyka przez publiczność mocno lubiana, nie musimy się czarować, i w pewnym sensie od niej odstąpiliśmy. I na samym początku staraliśmy się nie oceniać jej w kategoriach „dobra-zła”, założyliśmy po prostu, że szukamy nowych doznań.

Jeśli chodzi o przygotowania, to byliśmy, muszę przyznać, w komfortowej sytuacji. Zapis nutowy był niemal filmowy, to znaczy podana była ilość taktów, czas przeznaczony na poszczególne takty w określonych tempach, tak jak to wynikało z opisów Nowowiejskiego. To było bardzo wyraźną wskazówką. Ja oczywiście również przygotowywałem się do tego, zglębiamąc twórczość

Nowowiejskiego i próbując go poznać jako człowieka. I ta cała wiedza dawała bardzo jasny obraz tego wykonania, bardzo jasno określała jego charakter – bez „przekombinowania”, bez szukania czegoś bardzo szczególnego. Ale również sam rodzaj muzyki, która jest tak napisana, że się ją śpiewa w naturalny, trochę nawet intuicyjny sposób. I to miało swoje konsekwencje w interpretacji, do której nikt na razie nie zgłaszał zastrzeżeń, nie dopatrzył się żadnych niezgodności, niejasności, nieprawd, półprawd...

Dla Collegium Musicum nie było to pierwsze spotkanie z muzyką Nowowiejskiego. Chór wykonywał również oratorium „Quo Vadis?” w 1998 r. Jak porównałbyś te obydwa doświadczenia?

Po pierwsze, innego rodzaju świadomość, pewna dojrzałość po tych dwunastu latach, które przyniosły ze sobą bardzo duży bagaż doświadczeń. Tamto wykonanie w Düsseldorfie, pod batutą Oscara Blaara, odbyło się w innej sytuacji, takiej atmosferze polsko-niemieckiej współpracy kulturalnej i miało inny odbiór. Śpiewaliśmy to z zupełnie inną emocją. Wiele różnych rzeczy złożyło się na to, że zgoła inaczej rozumiałem i odebrałem, czy też nie rozumiałem, tamtego Nowowiejskiego. Brak absolutnie wiedzy na jego temat i dostępu do partytur dzieł chóralnych (poza drobnymi utworami) spowodował, że Nowowiejski został odrzucony, zapomniany. A teraz odkryłem w tych mszach mnóstwo wartościowej muzyki i innego Nowowiejskiego, niż do tej pory znałem.

Po drugie, inny rodzaj odpowiedzialności, zaangażowania. Za „Missa Stella Maris” odpowiadałem w stu procentach – nie tylko za przygotowanie chóru, ale również za poprowadzenie utworu, więc to było wykonanie od początku do końca moje. „Missa pro Pace” dyrygował Janusz Przybylski, dyrygent Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii im. Feliksa Nowowiejskiego, i muszę powiedzieć, że on prowadził tę drugą mszę tak, jak ja bym poprowadził. I nie wiem, czy na skutek naszej wymiany zdań przed nagraniem, czy on po prostu to samo czuł. Ja słyszałem siebie w tym i naprawdę bardzo dobrze się z nim przy okazji tej mszy współpracowało.

Ile trwały przygotowania do nagrania?

Kilkanaście prób każda msza. Pierwszą mszę nagraliśmy w końcu października, drugą pod koniec listopada. Każdy utwór to dwie sesje trzydniowe, po dziewięć, dziesięć godzin każda. Nagrywaliśmy te utwory w sali koncertowej szkoły muzycznej i tutaj jestem pełen podziwu dla zespołu, który wytrzymał tyle godzin na stojąco na tej skrzypiącej podłodze. My jesteśmy bardzo emocjonalnym zespołem i ciężko jest stać na baczność, niemal nieruchomo, kiedy chce się coś oddać, a tu niestety trzeba, bo mikrofon jest dużo bardziej doskonałym i precyzyjnym uchem niż każde inne. W związku z tym musieliśmy się bardzo mocno pilnować, było zupełnie inaczej, niż podczas koncertu na żywo. Dla mnie to było szczególnie trudne podczas dyrygowania. Ale poradziłem sobie i właściwie dopiero po nagraniu zdaliśmy sobie sprawę, że trwało to tyle godzin. Myślę, że dużą rolę odegrały tu także przygotowanie, kompetencja i nieprawdopodobny profesjonalizm reżysera dźwięku i obsługi tech-

nicznej z DUX-a, które przerosły wszelkie moje oczekiwania. Takiej współpracy osób z reżyserki z wykonawcami nie doświadczyłem przez prawie trzydzieści lat dyrygowania. Niesamowity profesjonalizm, ale też rewelacyjna komunikacja. Co nie jest takie oczywiste, bo my, dyrygenci, koncentrujemy się na zupełnie innych sprawach, na błędach, które ciągle się powtarzają i nad którymi ciągle się pracuje. A człowiek w reżyserce patrzy na to z innej perspektywy i musi to potem powiedzieć dyrygentowi, który nie zawsze się z nim zgadza, bo przecież „swoje wie i słyszy”. Choć akurat w tym przypadku nagrywający nie miał tego dylematu, bo zarówno ja, jak i cały zespół, prosiliśmy go o wszelkie reżyzerskie uwagi. I muszę powiedzieć, że zespół wspaniale na nie reagował. Zrobiliśmy cudowną rzecz i udało się to dzięki wspaniałej pracy zespołowej. My sobie dopiero po tych nagraniach zdaliśmy sprawę, jak katorżnicza, ciężka praca została przez nas wykonana, a nie zauważyliśmy tego, tej kategorii, tego ciężaru podczas nagrania, bo ono się odbyło w takiej dobrej atmosferze i dało nam wiele przyjemności, której się w ogóle nie spodziewaliśmy.

Ta płyta dała Wam też przyjemność innego rodzaju – mówię tu o nagrodzie...

Wokół tej płyty nie było żadnych planów komercyjnych. Planowaliśmy oczywiście koncerty, na pewno jeszcze we wrześniu zaśpiewamy w Poznaniu, chcieliśmy też w Watykanie wykonać to z większym zespołem, ale na tym się skończyło. Później dowiedzieliśmy się o tym, że DUX zgłosił tę płytę do Fryderyka. I któregoś dnia dzwoni do mnie Janusz Lewandowski i mówi, że płyta jest nominowana. I nie będę czarował – to był po prostu grom z jasnego nieba. Pogratulowaliśmy sobie tej nominacji, nacieszyliśmy się nią, w Olsztynie się zrobiło głośno, uaktywniły się nasze lokalne media. A potem pojechaliśmy na ogłoszenie wyników. W tym roku było specyficznie, ponieważ gala nie odbyła się w związku z katastrofą smoleńską, ale atmosfera była nieprawdopodobna. Koncert miał miejsce w Bazylice oo. Salezjanów. Zrobiło to na nas niesamowite wrażenie, bo było około dwóch tysięcy osób, które na co dzień oglądamy w telewizji, słyszymy w radiu, znamy z płyt, z różnego rodzaju konkursów, festiwalu. A tu w jednym miejscu wszyscy ci ludzie – nie chciałbym, żeby to zabrzmiało małomiasteczkowo – po prostu zaskoczyło nas to, że wszystko odbyło się w takiej serdecznej atmosferze. Przecudnej urody koncert, klimatyczny, nawiązujący do wydarzeń smoleńskich.

Samo odczytanie wyników trwało minutę, może dwie. Nawet nie zdążyliśmy zauważyć, bo spodziewaliśmy się, że będą prezentowane najpierw w kategoriach wszyscy nominowani. Wśród nominowanych byliśmy na tym pierwszym miejscu, więc w momencie odczytania wyników myśleliśmy, że to dopiero prezentacja nominacji, a tu się okazało, że wygraliśmy. Niesamowite wrażenie. W drodze powrotnej odbieraliśmy telefony i sms-y od przyjaciół, nawet z USA, tak jakby ludzie siedzieli, oglądali i czekali... Niesamowite....

Bardzo nas cieszy również to, że przez zdobycie nagrody zostaliśmy członkami akademii, a więc w następnej edycji też będziemy współdecydować, kto dostanie Fryderyka w tej kategorii, też będziemy głosować. To jest chyba pierwsza nagroda, która w tak specyficzny sposób jest przyznawana – w tym roku jury miało ponad tysiąc sto osób. To są wszyscy nominowani i wszyscy nagrodzeni Fryderykami – wykonawcy, autorzy w swoich kategoriach. W naszej kategorii jury składało się z ponad trzystu osób.

Czy macie dalsze plany dotyczące muzyki Nowowiejskiego? Czy myślisz, że Fryderyk otwory również kieszenie sponsorów?

Nowowiejski napisał dziewięć mszy. Na początku współpracy z filharmonią proponowano mi, żeby Collegium Musicum nagrało cały cykl. To mnie bardzo mocno „nakręciło” i dlatego decyzję o współpracy podjąłem natychmiast. Teraz czekam na kolejne utwory i bardzo się niecierpliwie, bo nawet nie wiem, co to jest. Ale nawet jeżeli dojdzie do nagrań z innym zespołem, bo to może się zdarzyć, to ja na pewno wezmę się za te msze i będę się starał je wykonywać. Jeśli chodzi o finanse, to będziemy szukać, będziemy zbierać i jeżeli tylko będzie taka możliwość, na pewno będę nagrywał. To, co się wokół tej płyty wydarzyło, nie tylko nagroda, ale przede wszystkim odkrycie zupełnie innej muzyki Nowowiejskiego, to wszystko nie pozwoli mi tak sobie usiąść i spocząć na laurach po tych dwóch mszach. Na pewno będziemy muzykę Nowowiejskiego wykonywać. Mogę to solennie przyrzec.

Rozm. przezpr. Robert Kuriata



Bożena Kraczkowska

www.malachitowylas.blogspot.com

Nie-myśli

Na polach już cienie szaro-purpurowe
kładą się leniwie i lekko zmrożone,
w pobladłe obłoki smutne i ponure
wplatają siwych ptaków postrzępione sznury.

I tak lecą nade mną świtem budyniowym,
zasnuwając nie-myśli tiulem koronkowym,
i już tęsknię za latem, które z mlecznej drogi
kładło się turkusem wprost pod nasze nogi.

Wściekła bezradność

Nie patrzę w gwiazdy, zawiodły mnie.
Nie patrzę niebu w oczy.
Zacięte usta modlą się...,
a w modłach gniew się toczy.

Toczy jak piana,
toczy wściekle,
toczy... jak robak toczy.

Nie patrzę w gwiazdy...
Zawiodły mnie.
Niebu nie patrzę w oczy.

Pocztówka z Jesieni

Pozdrawiam lesiennie.
Pozdrawiam liściennie.
Jak umiem.
Pozdrawiam jesiennie.

Przejście

Wschody i zachody, mroki i świty.
Ludzie przychodzą i odchodzą.
I tylko twarze są coraz starsze, zwiotczałe.
Aż staną się uśpione na koniec.



Warto snobować „na Moleskine’a”?

Anna Rau

Moleskine

Zimno jest, arktycznie.
Myśli pozamarzały i teraz
zwisają łebkami w dół
jak lodowe sopte, z których
(czasem...) skapuje woda.

Taka martwa natura.

Co z tego zatem, że piszę
w notesie, jakiego używali
Hemingway, Chatwin
i Picasso...
Nic.

Pod koniec XIX wieku pewien francuski introligator otworzył w Paryżu kilka małych, ale cieszących się uznaniem bohemy, sklepików, gdzie można było kupić m.in. kieszonkowe notesy w twardej oprawie, w tylko jednym kolorze – czarnym. Używali ich najwięksi europejscy artyści: od malarzy (Van Gogh czy Picasso) – po pisarzy (Hemingway, Chatwin czy... Kapuściński). W 1986 r. właściciele owych sklepików papierniczych zamknęli je, jednak legenda notatników wciąż trwa – Chatwin bowiem miał wykupić wszystkie dostępne egzemplarze (choć i tak było mu ich mało) i w swoich „Ścieżkach śpiewu” opowiedział całą ich historię, nazywając notatniki „Moleskine”. Pod tą nazwą po latach wznowiono tę serię ekskluzywnych zeszytów – obecnie można je dostać w wielu rozmiarach i wydaniach prawie wszędzie (także w Polsce). Podobno patrząc na puste kremowe kartki w niezwyklej sposób odczuwa się wyrafinowany i stosowny snobizm. Podobno nie można się na nie napatrzeć... Tyle legenda.

Moleskiny więc to nie są „zwykłe, rozbudowane notatniki”. Znamy mówią o nich z szacunkiem „zeszyty z duszą”, w których – jak w żadnych innych – można uporządkować myśli i pomysły. Powstała ich cała seria: w kratkę, w linie, większe i małe, w wersji „kalendarz”, „notatnik”, „osobliwy”... – a każdy z nich „ma” charakterystyczny kolor (choć to bardzo symboliczne określenie – Moleskiny nadal charakteryzują się czarną okładką i kremowym papierem stron, barwami zaś oznacza się paski otaczające notatnik, gdy ten przychodzi w przesyłce pocztowej. Jedynym odstępstwem jest tzw. wersja szwajcarska, czyli z czerwoną okładką – ale to edycja limitowana).

Piotr Piaszczyński nie darmo zatytułował swój tomik poezji „Moleskine”. Rzeczywiście rejestruje w krótkich, czasem inspiro-

Antologia

p. L. Engelkingowi

Tyle głosów
mówi do mnie;
ale nie chórem
– siedemnaście solowych
recitali...

Holan, Holan...

Gdybym umiał,
Tak bym śpiewał...

wanych haiku, czasem – klasycznych, czasem w (niestety groteskowo) rymowanych, utworach – szkicach poetyckich, myślach zahaczających o poezję – to, co w danym ulotnym momencie widzi, przeżywa i mija. To Moleskine, dziennik pisany nieregularnie – trochę pod natchnieniem, ale w większości bez, trochę snobujący, a trochę autentyczny, trochę afektowany i na pokaz, a trochę z potrzeby...

Bardzo trudno nie łączyć podmiotu lirycznego tomiku z samym jego autorem, wszak użyte w wierszach odniesienia biograficzne (sięganie do doświadczeń emigranta chociażby) są bardzo wyraźne. Może więc nazwijmy mówiącego w utworach Alter Ego? Piaszczyński nie był dla niego stwórcą litościwym: wlał weń niepokój egzystencjalny, wyposażył w typowe neurotyczne obawy mężczyzny w wieku średnim, a prócz tego uczynił emigrantem. Osadził go więc w Niemczech, ale jako miasto rodzinne wskazał Olsztyn. Alter Ego w kolejnych wierszach-notkach rozgląda się bystro, trochę marzy, ale przede wszystkim komentuje wszystko, co widzi. Wydaje się też, że pisuje – ot tak, z kaprysu – we wszystkich rodzajach Moleskinów... – gdyż istnieje typologia legendarnych notesów...

klasyczne w linie – podobno najlepsze jako pamiętniki, czy notesy „dla pisarzy”. Tak, motyw piszącego artysty jest stale obecny w całym tomiku – jednak tak zobrazowany stanowi wręcz sobowtóra filmowego sfrustrowanego inteligenta Adasia Miauczyńskiego! Piaszczyński w ten sposób powiela stereotyp „pisarza przy domu” – twórcy, który z starciem z codziennością radzi sobie tylko z gotowaniem i sprzątaniem. Prócz tego Alter Ego jest (równie stereotypowo) samotny i niezrozumiany, a jego zapiski (jego twórczość!) to „gadanie w pustkę” – do siebie (czyżby nikt nie chciał słuchać?) – i „machanie białą płachtą” na ratunek...



Hair

Pełno włosów
rankiem, na poduszce.

Pełnych smutku
(bo wszystkie należą do mnie).

adresowe – z odpowiednio wyciętymi zakładkami na bokach, użyteczne również jako notatnik ze znacznikami. Czy w tej kategorii umieścić utwory Piaszczyńskiego o rodzinnym Olsztynie? W nich to Alter Ego – po dłuższym wiciu się między wspomnieniami a poczuciem obcości – przyznaje, że jedyne, co go przyciąga do Olsztyna, to uroda kobiet oraz cmentarze. Moleskine adresowy z budzącymi nostalgię adresami kilku miejskich cmentarzy...

szkicownik – z czystymi, ale grubszymi, kartkami o większej niż zwykle gramaturze papieru (polecany artystom plastykom). Moleskine przez Piaszczyńskiego mało zapełniony. Poeta nie serwuje czytelnikom wielu obrazów, stawiając na zapis wrażeń, przeżyć, poruszeń i... dźwięków. Aczkolwiek tomik inicjuje obraz snu, a zamyka – wizją końca świata, Piaszczyński nie stawia jednak na mocne uderzenie, raczej na usilne słuchanie.

memo – foldery z kilkunastoma kieszeniami, w które można wkładać luźne karteluchy. Tu Piaszczyński umieszcza pojedyncze, ulotne obrazy-scenki poetyckie „ku pamięci”: o wizycie u koleżanki w pracy – w redakcji, o opiece nad psem Bodo, o skoku wiewiórki...

infobooks – bardzo pomocne jako notatniki w podróży, gdyż posiadają pięć zakładek: „noclegi”, „jedzenie”, „ludzie”, „do zwiedzania”, „miejsca”. W takim Moleskinie Alter Ego przemycza – zapisuje bardzo drobnym maczkiem – krople informacji o sobie (i o swoim stwórcy oczywiście). Przykładowo, że ma teczkę w IPN – i według opinii esbeka prowadzącego „prezentuje osobowość depresyjno-maniakalną”... No cóż, jak w znanym dowcipie: ZOMO nigdy nie kłamie. Alter Ego rzeczywiście nudzi się rzeczywistością, ma kłopoty z nadmiarem jawy oraz „nie takimi” snami. Ogólnie marudny i rozkapryszony jak dziecko, trochę hipochondryk. Jak to poeta... Czego pragniesz, o Alter Ego? Znerwicowany jesteś. Włosy gubisz, wciąż wzywasz zmarłego ojca, źle sypiasz...

klasyczne zeszyty – z perforowanymi kartkami, łatwymi z tyłu do wyrwania (sugerowane jako baaaardzo snobistyczne „brudnopisy”). Niech w tym miejscu spocznie bolesne wrażenie, że zdecydowaną piętą achillesową Piaszczyńskiego są utwory rymowane (zresztą kto widział notować skrawki życia rymując!). Trochę się stylizuje w nich na Gałczyńskiego, trochę na Broniewskiego, trochę na Lechonia – ale „trochę” czyni ogromną różnicę. Rymy niedokładne, czasem niby-umowne, ale i tak nieporadne, więc przeszkadzają i trywializują.

Nie,
bo
nie.

Nie-
bo,
tak.

w kratkę – niby „szkolne”, wersja dobra dla tych, którzy wolą pisać w kratce. Piaszczyński również próbował zmieścić się „w kratkach” tradycji, czy może stylistyki zabawy literackiej?... – ale nie było warto. Rezultatem tych starań są „utwory za długie”, które rozlażą się w szwach i prują, banalizując wizje i przestania.

reporter – otwierane nie na boki, ale do góry – jak to czasem można obserwować na amerykańskich filmach (wersje: w kratkę, linię i czysta). W tym miejscu można wspomnieć, jak to Alter Ego próbuje być – trudno to nazwać... – bardziej empatyczny wobec czytelnika?, próbuje za coś nadążyć? – może chce w ten sposób przezwyciężyć defetyzm, neurozę, smutek – lekko filozofując i żartując. Czytelnik nawet zaczyna go lubić. Zwłaszcza, gdy Alter Ego wyjmuje swojego wypieszczonego Moleskine’a na cmentarzu i tam notuje. Widać, że czuje Rzeczywistość Drugiej Strony.

City Notebooks – powstała cała seria „miejskich notatników” z mapami konkretnych miast, a poza tym całkowicie pustych, co zachęca, aby notesy zapełnić opisami swoich ulubionych miejsc (niestety, na razie polskich miast nie uwzględniono). W takim Alter Ego opisuje swoje Niemcy – swoją ojczyznę w gościnie. Trzeba podkreślić określenie „swoje”, gdyż jest to oczywiście subiektywny obraz tego kraju. Z utworów przebija, iż już od dłuższego czasu poeta obserwuje naszych sąsiadów – i rzeczywiście może o nich powiedzieć niejedno. Opisuje ich lekko, bez specjalnych emocji, ewidentnym okiem obcokrajowca, ale – lekko przymrużonym.

japońskie – czyste, z rozkładanymi kartkami – dobre na przykład do malowania panoram. Piaszczyński umieszcza w takim swoje „notatki jesienne”, bardzo inspirowane haiku – klimatyczne, wszystkie z „dobrej”, jasnej strony księżycy. Słuchowo malarskie.

storyboards – idealne do rysowania historyjek (komiksów lub storyboardów, pomocne twórcom filmów Scifi), gdyż strony posiadają już narysowane obramowania, które można zapełnić. Trzeba stwierdzić, iż Piaszczyński nie jest najlepszym twórcą fabuły. Ale czy to nie oczywiste? – poezja to nie historia przygodowa! Tak czy owak, ten Moleskine jest mało zapełniony...

muzyczne – oczywiście z kartkami zarysowanymi czystymi pięcioliniami. Piaszczyński czuje muzyczne sfery, częstokroć gra słowem, choć z różnych względów nie zawsze brzmi to tak, jak by brzmieć

Codziennie rano
w zaparowanym lustrze
znów widzę ją znajomą
twarz jak żywą ojca
z ostatnich lat.

mogło... W tym miejscu jednak świetnie się mieści zdecydowanie najlepszy utwór całego tomu, czyli *** [Nie, bo] (s. 14). Zwięzły, metafizyczny, ale i reporterski – bardzo „w stylu Moleskine’a” – a jednocześnie dźwięczny. W tym pięknym drobiazgu widać cały potencjał poetycki Piaszczyńskiego, wręcz jego kunszt w operowaniu słowem oraz szerokość wyobraźni.

kalendarze – *zazwyczaj na 18 miesięcy (!). Świetnie pomagają w planowaniu, gdyż lewą stronę notesu stanowi tradycyjny kalendarz, a prawą – liniowane miejsce do pisania.* Może cały tomik mógłby być takim Moleskinem? Jest niejednoznaczny w odbiorze, ale jednoznaczny w zrozumieniu układu i tematyce wierszy: wszak notatnik to życie, w nim mieszają się uniesienia z bardzo prozaicznym głodem, stacja Orłenu z cmentarnym nagrobkiem, sztuka z chwajnym powrotem nad ranem.

Są jeszcze **czyste**, czyli „plains” – *dla każdego, kto ceni wolność nawet symbolicznie nieograniczoną linią czy kratką.* Zdawałoby się, że taki najbardziej pasuje do Prawdziwego Poety. Jedynie chyba tych Alter Ego nie wziął do ręki¹.

Wszystko skupiło się na analizie tytułu... Ale czy ktokolwiek mógłby długo opowiadać o swoim kalendarzyku, który codziennie nosi w torbie czy teczce, o notesie, który trzyma w biurku? Czy można długo rozводить się nad treścią pamiętnika? Nie, gdyż opowiadając, już przechodzimy do kolejnych dat, faktów, postaci. Zresztą tam SĄ same daty, wrażenia, ulotności. Piaszczyński też krótko notował. Nie wydaje się tylko, aby używał czerwonookładkowej, „szwajcarskiej” wersji Moleskine’a – koloryt i klimat wierszy zdecydowanie jest jesienny, ciemny, wspomnieniowo cmentarny. Poza tym brak w nich namiętności i czerwieni – autentyczny BRAK. Utwory są tak stoickie, jednym kącikiem ust uśmiechnięte, chłodne i uprzejme jak kondolencyjne ściśnięcie ramienia. Wiersze stoika, który lubi wino, kobiety i śpiew, ale... wszystko to bez namiętności. Więc cóż, Piaszczyński-poeta-menedżer rzeczywistości woli przesłaniać rzeczywistość maską? Ba! Czemu nie? – maska jest stylowa, godna artysty, lekko snobistyczna... Wyróżnia. Jak Moleskine.

Piotr Piaszczyński, „Moleskine”, Olsztyn, „Portret”, 2010.

¹ Istnieje jeszcze podział ze względu na rozmiary – małe, kieszonkowe (pocket), klasyczne (19×14 cm) oraz duże (A4) – oraz na typ okładek – notesy z twardą oraz miękką.



Beśka zdobywcą „Wawrzynów”

19 maja 2010 r. przyznano „**WAWRZYN – Literacką Nagrodę Warmii i Mazur**”. Spośród pięciu nominowanych pozycji za najciekawszą książkę opublikowaną w roku ubiegłym uznano „**Fabrykę frajerów**” Krzysztofa Beśki, wydaną w warszawskim wydawnictwie „Nowy Świat”. Autor odebrał również „**WAWRZYN**” – nagrodę czytelników. Natomiast wyróżnienie przyznawane książkom o szczególnych walorach edytorskich i poznawczych przypadło „**Księżde Ogniw – Mapy Pamięci**” – publikacji opracowanej i wydanej przez Stowarzyszenie „Tratwa”. Pozostali nominowani to:

Kazimierz Brakoniecki, „Polak, Niemiec i Pan Bóg : olsztyńskie szkice osobiste” (Olsztyn, Wydawnictwo „Borussia”)

Erwin Kruk, „Spadek : zapiski mazurskie 2007-2008” (Dąbrówno, Retman; Olsztyn, Polskie Towarzystwo Czytelnicze)

Piotr Piaszczyński, „Moleskine” (Olsztyn, Portret)

Marta Syrwid, „Zaplecze” (Warszawa, WAB)

Gospodarzem uroczystości wręczenia Nagrody, jak co roku, była Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie. Nagrodę przyznała Kapituła w składzie: Marek Barański (poeta, dziennikarz), Zbigniew Chojnowski (profesor literatury, poeta), Sławomir Fafiński (wydawca), Jarosław Kowalski (dyrektor TVP Olsztyn), Andrzej Marcinkiewicz (dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie), Wojciech Ogrodziński (dziennikarz), Bernadetta Darska (wykładowca akademicki, publicystka, krytyczka).

Krzysztof Beśka

Cygnus (fragment)



Dzień miał się już ku końcowi, kiedy Wojciech i Sicco usiedli ramię w ramię na brzegu jeziora. Słońce podbiegało krwią jak ślad po uderzeniu tępych narzędziem, choćby właśnie wiosłem w plecy misjonarza, które znów dało o sobie znać. Widząc, że gość krzywi się z bólu, poganin zapytał, co mu dolega. Czy to aby jedzenie nie zaszkodziło gościowi na żołądek. Adalbert, zrazu migając się od odpowiedzi, w końcu odpowiedział, jaka przygoda spotkała ich już pierwszego dnia pobytu na pruskiej ziemi, kunigas Sicco nijak tego nie skomentował, zamyślił się tylko głęboko, po czym zawołał znachora, żeby ten obejrzał rany Wojciecha. Ten zgodził się na to i już po kilku chwilach, posmarowany przez czarownika jakimiś tajemniczymi maściami, poczuł wyraźną ulgę.

- Mówisz, że Bóg wasz jeden jest – rzekł Sicco, patrząc gdzieś w dał, na wody jeziora pomarszczone pierwszymi powiewami wieczornej bryzy.

- Jeden – potwierdził Wojciech.

- I nikomu poza nim czci nie oddajecie?

Misjonarz zmarszczył czoło. Ot, pytanie – pomyślał. Nie są ci Prusowie tak źli, czy tylko krwi żądni, o czym już trzej wędrowcy zdążyli się przekonać i co wciąż ciepłem wypełniało im brzuchy. Nie są też tak głupi i zacofani, a tylko takie sądy o nich słyszał na dworze księcia polskiego Bolesława, kiedy z misją na północ się wybierał. Wielobóstwo to podstawa religii pogan, ale czy tak naprawdę i chrześcijaństwo nie jest religią, w której po co innego człek modli się do innego świętego? Przecie dziecko wie, że od gradobicia uchroni cię święty Jana Chrzciel, a przed dzumą, syfilisem, czy trądem święty Jerzy. Świętego Macieja Apostoła wzywają niepełne małżeństwa, a i sam Wojciech modlił się do niego, gdy rozpoczynał nauki. Przecie dziecko wie, że święty Piotr to orędownik najlepszy, gdy czleka złamie febra czy gorączka.

- Wiele jest synów naszego Kościoła, którzy przez kilkaset lat życie oddawali za wiarę i których mamy obowiązek po dziś dzień wspominać – rzekł po dłuższej chwili Wojciech i, co bywało częste, zapłakał przy tym, jak zwykł płakać od lat wielu, podczas odmawiania modlitwy, szczególnie Dawidowych psalmów.

Sicco westchnął głęboko. Wojciech postanowił uprzedzić Prusa.

- A do kogo wy się modlicie? – zapytał, a odchrząknąwszy, dodał

jeszcze – Powiadają w świecie, że nie tylko na niebie będące słońce, księżyc i gwiazdy, i błyskawice, ale też węże i zaby czcicie...


Gospodarz uśmiechnął się.

- Czczymy boga Perkuna – rzekł z dumą. – To pan wojny i błyskawic, i ognia, który na jego cześć znajdziesz w niektórych lauksach, płonący tak nocą, jak i za dnia. Spotkasz też Potrimposa, który opiekuje się wodą, i Patolla, i wiele innych bóstw, których więcej niż palców u rąk. Żemina to bogini ziemi. Rychłą wiosnę sprowadza do nas bóg Pergrubi. Pomaga mu w tym Ajtwar, przychodząc do nas z ciepłym wiatrem. Wurszajt nasz przywołuje bóstwa i ofiary im składa w świętym gaju, pod dębem. Miejsce to szczególne, jednak wasza, cudzoziemców i chrześcijan, noga postać tam nie może.

Wojciech czuł się dziwnie. Gdzieś zniknął ów wewnętrzny głos, który, odkąd pamięta, kazał mu iść i głosić prawdy zapisane w Ewangelii. Choć próbował nie słyszeć odgłosów otaczającego go świata, nie był w stanie złowić choćby i słowa, bo i ono, nawet najkrótsze i najcichsze, zwykle wystarczało, by nie ustawał w drodze, na którą wszedł przed laty.

Przypomnieli mu się za to rodzice. Ojciec Wojciecha, książę libicki Sławnik, był człowiekiem wielkiego serca i uczciwości, a jednocześnie o pogodnym usposobieniu, towarzyski, a zatem i gościnnie, na zdobycze nauki otwarty był jego umysł. Szczodrze wspomagał ubogich, samotne matki i sieroty, choć znaleźli się i tacy, którzy za złe mu mieli, że w kościele bywa zbyt rzadko, choć nową wiarę przyjęli i z żoną żył jedną, jak nakazywała. Ona miała na imię Strzeżysława i również pochodziła z możnych.

Kiedy na świat przyszło dziecko, któremu na chrzcie dano imię Wojciech, z początku rodzice mieli przeznaczyć go do stanu duchownego. Szybko jednak zmienili zdanie, chłopczyk był bowiem niezwykle urodziwy. Zbyt śliczny, by... zostać księdzem. Śmiał się młody Sławnikowic, gdy o tym usłyszał po latach. I dziękował Bogu, że stało się inaczej. A stało się tak, gdy dnia pewnego dziecko ciężko zachorowało. To nie była zwykła przypadłość noworodków, z którą sobie już radzono. Tym razem bowiem nikt zaradzić nic nie mógł. Pozostała modlitwa żarliwa. Sławnik i Strzeżysława zanieśli przeto rozpalone przez gorączkę, ale żywe jeszcze, ciało Wojciecha do kościoła, gdzie przyrzekli, że dar ozdrowienia odkupią, przeznaczając chłopca do stanu duchownego. Ich błagalne prośby zostały



wysłuchane: młody Sławnikowic został sługą Kościoła, choć jego późniejsza droga krętą była i co raz pod górę wiodła...

- Bardzo chciałbym zobaczyć wasz święty gaj – rzekł naraz Wojciech i nie poznał swego glosu.

Człowiek imieniem Sicco spojrział na misjonarza badawczym wzrokiem, lecz ten nie dostrzegł w nich gniewu.

- Dlaczego chcesz go ujrzeć? – zapytał kunigas.

Wojciech nie znał odpowiedzi. Nie znał odpowiedzi, której mógłby udzielić gospodarzowi i o której wiedziałby, że nie wzbudzi ona jego gniewu. Prus Sicco był tęgim wojownikiem, świadczyła o tym jego postura, świadczyły o tym jego blizny i posłuch, jaki wzbudzał wśród swego ludu. Zapewne nieraz zabił człowieka, Polana, bo to z nimi, najbliższymi sąsiadami, najczęściej toczyły się krwawe boje. Rozpłatanie głowy misjonarza jednym uderzeniem maczugi, czy choćby sękatego kija, to pewnie dla niego tyle, co splunąć. A jednak coś kazało Wojciechowi wypowiedzieć zdanie, które wypowiedział: tylko prośbę nieśmiałą, która jednak równie dobrze mogłaby być odczytana jako próba wtargnięcia na święty teren, zbeczczenia miejsca odwiecznego kultu. Wciąż też nie wspominał Wojciech o decyzji wiecu, który kilka dni temu nakazał misjonarzom oddalenie się z kraju pod groźbą śmierci.

Czy Sicco nie wiedział, kim są? A może wiedział, a mimo to udzielił im gościny. Czy planował coś niecnego?

Myśli Wojciecha przerwał odgłos dochodzący z jeziora: to para dorosłych łabędzi wzbijała się właśnie w powietrze, trzepot skrzydeł niósł się po okolicy jak wezwanie. Miały pióra koloru dopiero co opadłego śniegu, ich długie, giętkie szyje przez moment falowały tuż nad lustrem wody, nim ptaki wzbily się ku górze.

- To bardzo piękne, ale i mądre stworzenia – powiedział Sicco, nie patrząc na siedzącego obok gościa. – Czy wiesz, że mogą wzbic się w powietrze jedynie pod wiatr? Coś, co innych zatrzymuje, uniemożliwia dalszą drogę, im pozwala dopiero ją rozpocząć. Z ludźmi bywa podobnie, choć nie zawsze są w stanie pojąć, że to, co mają za koniec niechybny, to dopiero początek...

- Mówisz o życiu po śmierci? – chciał upewnić się Wojciech.
- Słyszałem, że wierzyacie, iż dusza ludzka może odrodzić się w cie-

le innego człowieka, ale też w ciele zwierzęcia, a nawet marnego gada.

- To prawda – potwierdził Sicco. – Ja jednak nie miałem na myśli śmierci, a życie dalsze. Wiele razy byłem ranny w walce, leżałem sam na polu bitwy, żegnając się z tym światem. Jednak kres nie nastąpił.

Wojciech-Adalbert na powrót zatopił się w rozmyślnościach. Nie, nie był nigdy porzucony samotnie na polu walki, nie odchodził od zmysłów, czekając na pomoc, a krew jego nie wsiąkała w ziemię. Ale wiele razy przyszło mu zawracać z obranej drogi. Słońce zgasło dlań po raz pierwszy, gdy ze świata tego odszedł ojciec Wojciecha, książę Sławnik, a krótko potem biskup Dytmar. Pogodne dotąd oblicze młodego mężczyzny zmieniło się nie do poznania, a troska codzienna porała jasne czoło. Będąc już biskupem, żył w ascezie. Jadł mało, spał krótko. Gościł u siebie biednych i potrzebujących, których nigdy nie brakowało. Więźniów i chorych nawiedzał, miodąc się przy tym bez ustanku.

Pięknie jednak odwdzięczyli się prazanie swemu biskupowi za miłość, jaką im obdarzył. Wciąż bowiem w pogańskich związkach z wieloma kobietami trwali, a jeżeli już z jedną, to była ona bitą i hańbioną, niewolnikami handlowali i swego pasterza słuchać nie chcieli. Gdy ich opuścił, prosili, by wrócił, obiecywali poprawę. To jednak tylko czcze słowa były. Znów słuchać go nie chcieli, a i czuł wyraźnie, że i łaska księcia czeskiego Bolesława nie jest już tak wielka, jak kiedyś. Gdy to pojął Wojciech, znów gród na Wełtawę opuścił, oddając się w pierw surowemu zakonnemu życiu we włoskich klasztorach, gdzie godność biskupa wspomnieniem mglistym tylko była, a potem zostając misjonarzem. Ta ostatnia droga zaprowadziła go właśnie tutaj, do Prus, kraju pogan.

Rzekł Sicco:

- Czy wiesz, jak smakuje potem każdy nowy dzień, jaki smak ma życie, któregoś o mały włos nie postradał?

Tego Wojciech nie wiedział. Nie wiedział też, że już wkrótce prawda ta będzie mu dana.

**Scena 1**

(deszcz przestaje padać, wychodzi słońce, oświetlając fragment dziedzińca, pojawia się Kat, który patrzy podejrzliwie w niebo, a za nim Komtur; na dziedzińcu kilku rycerzy ćwiczy walkę na miecze, kilku czyści zbroje. Na widok Komtura i Kata rycerze podrywają się jednocześnie)

Komtur – Do kata, do kata z tą obrzydliwą pogodą.

Kat – Słuszność wielebny, pa... *(zakrywa ręką usta)* Do kata z tą zmienną ładacznicą!

Komtur *(zacierając ręce, patrzy na rycerzy)* – Co my tam jeszcze, dręczycielu, mamy?

Kat *(obiegając Komtura)* – Dwa tuziny halabard, trzy nowiutkie dyby i kilometr łańcuchów do zakuwania, i...

Komtur – To wszystko?

Kat – No, nie, mamy jeszcze coś ważniejszego!

Komtur – Gadaj na litość *(patrzy w niebo)* Boską!

Kat – Niewielkie... kłopoty, pa...

Komtur – Jakie, głupcze, kłopoty?

Kat – Zdechły nam trzy konie, pa...?

Komtur *(przerzywa mu)* – Czy koniuszy już wisi?!

Kat – Od trzech dni dynda pa...

Komtur – A chłopcy stajenni?

Kat – Solidnie wybatożeni, jeszcze boli mnie bark, mój pa...

(Komtur klepie kata przyjacielsko po buzi i pokazuje, by zmykał, Kat kłania się nisko i wychodzi)

Komtur *(na widok rycerzy)* – Wasze zawołanie?

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm *(wrzeszczą na całe gardło)*
– Pomagać, bronić, leczyć!

Komtur – Coś mi dzisiaj cienko śpiewacie. Po ostatniej wyprawie na Żmudź wróciła was połowa. Czyż nie mylę się, Mały Wilhelmie?

Mały Wilhelm *(najwyższy i najpotężniejszy z rycerzy)* – Ty ni-nigdy się nie mylisz, szlachetny pa-panie!

Komtur – Ten ci zaiste wzrost ma, a i rozumu *(przedrzeźnia)* do-dosyć! Ozłocę go i wyślę na Polaków. Albo nie! *(do Małego Wilhelma)* Lepiej będzie, jeśli wpiery wyślę cię na szalonych Polaków, a kiedy wrócisz, to cię ozłocę.

Mały Wilhelm *(z obawą)* – A... a jak nie wrócę, czci-czcigodny panie?

Komtur *(głaszcze go po głowie)* – Zamówię za ciebie mszę, Bóg mi świadkiem. *(po zastanowieniu)* Więc chciałeś mi powiedzieć, że pościg za Wigandem i Agnes nie udał się.

Mały Wilhelm – Gnaliśmy co sił, gubiąc pod-kowy, lecz drogę zmyliła nam cza...

Wielki Ulrich *(najmniejszy i najchudszy z rycerzy)* – Czarownica, osle! Rzuciła jakieś okrutne czary. Mój koń zaczął chrząkać, a potem zrobił „plum” i zapadł się po uszy w bagno.

Mały Wilhelm *(chwali się, jak dziecko)* – A, a mój rumak wcale nie był go-gorszy! Od sztuczek tej ję-jędzy strzygł usz-uszami i zaczął kręcić się w kółko. Kiedy spadłem z siodła, odczołgałem się w krzaki, żeby... no-no-no, i gdyby nie Wie-wielki Ulrich...

Wielki Ulrich – Wyzionałby niechybnie ducha. Poza tym nic nie widziałem, bo była gęsta mgła!

Mały Wilhelm – A-a ja pamiętam, *(sięga po miecz)* że świe-świeciło ostre słońce, jeszcze teraz bolą mnie śle-ślepia!

Komtur – Więc była mgła, czy sło-słońce?! *(tapie rycerzy za głowy, ci wrywają się)*

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm *(jednocześnie)* – Słońce i mgła, szlachetny panie!

Komtur – Widzę, żeście się przeciw mnie zmówili. I co tam jeszcze? Niczego mi nie ukrywać, mówić, jak na spowiedzi!

Wielki Ulrich *(patrzy ze strachem na Małego Wilhelma)* – Nic specjalnego, może to, że kiedym wychodził z cuchnącej breji, znalazłem na brzegu szmatę, co ją teraz chowam w bucie.

Komtur – Mówże jaśniej!

Wielki Ulrich *(ściąga buta i wyjmuję pergamin)* – Pasuje, jak ulał, do dziury! Dostałbym kataru, gdyby nie ta...

Komtur *(wyrzywa mu szmatę)* – To pergamin Wiganda, głupcze! Historię naszego zamku trzymasz w zafajdanym bucie? *(bierze pergamin pod światło, rozprostowuje i czyta, rycerze zaś, stojący po obu stronach Komtura, podrywają do rytmu)*

Zanim do Rynu / ja przyjechałem

Życie Galindów / dobrze poznałem

Ptolemeusz zaczął / a ja skończyłem

Gdy z czarownicą / do wody...

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm

...wskoczyłem (plum)

Komtur

Cztery skrzydła zamku / jeziora toń

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm

Pod wodą skryty / ceglany schron

Komtur

Cztery skrzydła zamku / jeziora toń

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm

Potężna fosa / to jego broń

Komtur

Cztery skrzydła zamku...

(kiedy tak śpiewają, „na murach” zamku pokazują się trzy duchy: Szalonego Polaka, Krwiożerczego Litwina i Zdrajcy Kucharza, które przesuwają się jak postaci w szopce, w rytm śpiewanej kroniki Wiganda)

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm

To duchów dom!

Komtur *(do rycerzy)* – Co wy mi tu śpiewacie!?! Oczu nie macie, nie widzicie duchów?

Wielki Ulrich i Mały Wilhelm *(razem)* – Nie widzimy, panie!

Komtur – Ślepaki! Łapać mi ich zaraz, bo zwieją! Ich upiorne jęki nie dają mi spać. *(Łapie się za głowę. Wielki Ulrich i Mały Wilhelm niezdarnie rzucają się w stronę zjaw, siekąc mieczami powietrze)*

Szalony Polak, Krwiożerczy Litwin i Zdrajca Kucharz

Cztery skrzydła zamku / jeziora toń

To w środku nocy / jest nasz dom. *(znikają)*

Wielki Ulrich *(do widzów)*

Cztery skrzydła zamku / jeziora toń

To w środku nocy / jest duchów dom

Scena 2

(Mały Wilhelm z Komturem wychodzą, Wielki Ulrich zostaje, by pilnować murów, a kiedy zasypia oparty o miecz, pokazuje się na ganku Biała Dama, ze sztyletem wbitym w pierś, ze śladami krwi na białej sukni, w rękę trzyma małą poduszkę)

Biała Dama – Mężczyźni są okrutni. Robią z nas niewolnice, nałożnice i czarownice, zapominając, że my *(wyjmuje sztylet i ogląda go, i na powrót „wbija” w pierś)* po prostu chcemy ich kochać. A kiedy stanie się im krzywda, wtedy największy brutal biegnie do nas, by się wyptakać.

(Wielki Ulrich śpi i przez sen kiwa głową)

Biała Dama *(śpiewa piosenkę „O Rynie”)*

Zakochałam się w Rynie

W sennym miasteczku

Gdzieś na końcu świata

Gdzie jeziora błyszczą, jak srebrny Ren

Zakochałam się w Rynie

I teraz przychodzę tu, co noc

Gdzie na białym płaszczu

Czają się krucze krzyże

(Wielki Ulrich budzi się i znów zapada w sen)

Zakochałam się w Rynie,

Lecz on nigdy mnie nie kochał

I poślubił inną, tam,

Gdzie zamieniają się w krzyże

Czarne kruki

Wielki Ulrich *(budzi się, rozgląda sennie)* – Czy ktoś mnie wołał?

Biała Dama *(kpiąco)* – Co noc tęsknię do ciebie, lecz ty mnie nie widzisz.

Wielki Ulrich – Przepadnij, maro nieczysta, ślubowałam żyć w samotności i muszę wytrwać. *(siada, rozgląda się sennie i znowu drzemie, Biała Dama podkłada mu pod głowę poduszkę)*

Biała Dama *(kończy poetycko)*

...tam, gdzie zmieniają się w krzyże

czarne kruki.

Wielki Urlich (*podrywa się, krzyczy*) – Alarm – czarne kruki! Straże – czarne kruki!

(*wbiegają Mały Wilhelm z Komturem, Komtur ma na głowie szlafmycę, zaś Mały Wilhelm na nodze jeden but, więc kuleje*)

Mały Wilhelm z Komturem – Gdzie, co-co?

Wielki Urlich – Prusowie! Widziałem siedmiu na murach, mieli na tarczach czarne kruki, słyszałem ich groźne pomruki.

Chór giermków

Widzieliśmy siedmiu na murach,

Mieli na tarczach kruki,

Słyszeliśmy ich groźne pomruki.

Mały Wilhelm – Alarm! Podwoić stra–stra–że! A–laaarm!!

Komtur (*krzyczy*) – Brać ich żywcem, wyśpiewają, u kata, jak na spowiedzi!

Wielki Urlich – Łać z murów smołę. (*zamierza się poduszką*) Rzucać belki, kamienie! (*Biała Dama chowa się za występem muru i przystawia palec do ust, jakby chciała, by jej kryjówki nie zdradzić*)

Mały Wilhelm (*rozgląda się*) – Ale..., ale kom–kom...

Komtur – Co, *komm?* *Komm hier*, bratku!? Połknąłeś własny język?

Mały Wilhelm – Na murach... nikogo... kom–komturze, nie ma!

Komtur (*wściekły*) – Czy mi się wydaje, czy jakiś osioł spał przed chwilą?

Wielki Urlich (*patrzy na szlafmycę Komtura, ze śmiechem*) – Niewątpliwie!

Komtur – Kpisz ze mnie, tótrze?

Wielki Urlich – Ależ nie i spokojnej ci nocy życzę!

(*Mały Wilhelm ucieka wokół stołu, goni go Komtur, za którym wybieg, utykający Wielki Urlich; kiedy wszyscy znikają, na murze pojawia się Biała Dama, która nuci melodię „O Rynie”, a potem zaprasza widzów na spacer po zamku, opowiadając jego historię*)

Scena 3

(*Szalony Polak ubrany w sukmanę przewiazaną powrozem, Krwiożerczy Litwin z nastroszoną fryzurą, odziany w skóry, z dębową pałą, i Zdrajca Kucharz w białym czepku, z zawiązanym fartuchem, z chochlą za pazuchą – grają w kości na stole, przygląda im się Biała Dama*)

Szalony Polak – Niedługo będzie świt! (*potrząsa kubkiem, rzuca kości, zawiedziony*) Psia krew! I znowu wyleżą na światło te prze-mądrzałe pająki z krzyżami na plecach.

Krwiożerczy Litwin – Lecz, jeśli teraz wypadnie szóstka, (*potrząsa kubkiem, w którym grzechoczą kości*) koleś w berecie leci do refektarza.

Zdrajca Kucharz (*do Krwiożerczego Litwina*) – A jeśli teraz wypadną dwie piątki...

Krwiożerczy Litwin – Straszę przez miesiąc, a ty leżysz w swojej kajutce do góry brzuchem.

Szalony Polak – A jeśli (*staje za plecami Krwiożerczego Litwina*) ja wygram, obaj będziecie straszyć na mój rachunek, a ja wreszcie się wyśpię.

Biała Dama – Zamierzacie spać, gdy Komtur przygotowuje bał?

Krwiożerczy Litwin – Co za bał?

Biała Dama – Nie pał, lecz bał! Dla gości. Podśluchałam, że nazywają się „turyści”.

Zdrajca Kucharz – To jakieś plemię naciera na zamek?

Biała Dama – Podobno zaprosili się sami!

Krwiożerczy Litwin (*potrząsa kubkiem i rzuca, lecz kości zabiera mu Zdrajca Kucharz*) – A więc to Tatarzy!

Zdrajca Kucharz – O co ten szum? Zabawią kilka dni. Zabiorą dziewczki w jasyr...

Szalony Polak – Uprowadzą bydło...

Biała Dama – To jakaś spokojna wyprawa!

Krwiożerczy Litwin, Zdrajca Kucharz i Szalony Polak (*razem*) – Nie przeszkadzaj!

Szalony Polak – Nie słyszałem o spokojnych wyprawach!

Zdrajca Kucharz – Ani ja!

Krwiożerczy Litwin – No, chyba, że mają zamiar dołączyć do nas i zwiedzać zaświaty!

Szalony Polak – Można by im...

Zdrajca Kucharz – Dosypać do wina trucizny!

Krwiożerczy Litwin – Ja bym proponował wpuścić wściekłego lisa.

Szalony Polak – Mam lepszy pomysł. (*podchodzi do Białej damy, coś jej szepcze na ucho, ta śmieje się i wybiega*)

Scena 4

(na dziedziniec wchodzi 4 aktorów, przebranych za współczesnych turystów, z plecakami, w czapkach, okularach i kapeluszach. Szalony Polak, Zdrajca Kucharz i Krwiożerczy Litwin zaszokowani przyglądają im się z ukrycia. Naprzeciw turystom wychodzi Biała Dama)

Turystka I *(do Białej Damy)* – Cześć, słyszałam, że gdzieś tu jest fajna imprezka.

Biała Dama *(nie rozumie)*

Turysta II *(rozmawia przez telefon komórkowy)* – Gdzie? Jak to – gdzie! W Rynie, człowieku. Tak, dwa jeziora, a na górze zamek. Mijasz Mrągowo, tak, w połowie drogi do Giżycka. Zaraz idziemy na imprezę.

Turysta III – Słyszeliśmy, że tu w zamku jest jakaś czadowa imprezka! Nie wiesz, mała, gdzie jest ten pub? Chcielibyśmy się dziś zabawić.

Biała Dama – Obiecuję, że zaraz się zabawicie i to jak! „Imprezka” jest w... *(zastanawia się przez chwilę)* refektarzu, to znaczy w pubie – „Refektarz”, lecz wszyscy goście muszą się na nią przebrać.

Turysta IV – Woow! Mamy się przebrać? Za kogo?

Biała Dama – Chodźcie za mną. *(pokazuje salkę obok, turyści wychodzą i po chwili pojawiają się przebrani za duchy, za: Zdrajcę Kucharza, Krwiożerczego Litwina, Szalonego Polaka i Białą Damę. Prawdziwe duchy szybko przebierają się w stroje turystów i przyglądają się rozwojowi akcji z ukrycia)*

Turysta I – Gdzie jest ta muzyka?

Turystka – Gdzie jest ten odlotowy pub?

Turysta II – My chcemy się bawić!

Turysta III – Suszy mnie w gardle!

(niespodziewanie pojawia się Mały Wilhelm w zbroi i z mieczem)

Turysta I – Widzę, stary, że też walisz na tę sama imprezę. Masz niekiepski strój. *(opukuje jego zbroję)*

Mały Wilhelm *(wyciąga miecz)* – No, teraz mi nie uciekniecie!

Turystka – Myślisz, że będę przed tobą uciekać? *(próbuje mu podnieść przyłbicę, do Turysty I)* Możesz zrobić mi z nim zdjęcie? *(podaje mu aparat)*

Mały Wilhelm – Straże, strażę, mam ich! *(wbiegają uzbrojeni: Wielki Urlich, Komtur i chór giermków z linami; wiążą i krępują turystów, prawdziwe duchy uciekają)*

Komtur – Ho, ho, ho! Tu jest tych ptaszków więcej. Wiążcie i tych! *(pokazuje na pierwszy rząd, podchodzi do widzów i ogląda ich, dotyka muskułów, patrzy w oczy)* Nadadzą się do pracy w młynie. Są wypasieni, młodzi.

Wielki Urlich – I do kopania torfu! Niech ich żrą baki i komary!

Mały Wilhelm – A tę czwór–czwórkę poświęćmy, kom...

Komtur *(pokazuje na siedzącą osobę)* – Ja, komm hier!

Mały Wilhelm – Dla rycerskiego skrzy...

Wielki Urlich – Skrzydła! A ta reszta, co tak siedzi bez życia, będzie od dziś chodzić w kieracie. Koń zdechł wczoraj, niech go zastąpią.

Mały Wilhelm – Pójdą do lo–lochu, aż oś–oś...

Komtur – Oślepną, mój ty oś... *(poprawia się)* mój ty, przyjacielu! Wołać mi kata! *(wszyscy wychodzą, powiązani linami)*

(aktorzy wracają, by się uklonąć. Biała Dama śpiewa piosenkę „O Rynie”, wszyscy trzymają się za ręce i śpiewają z nią)

Koniec

© by Paweł Jaszczuk





Barwy Grunwaldu

„Barwy Grunwaldu” – to tytuł projektu twórczego, do którego zaproszeni zostali nauczyciele akademicy, absolwenci i studenci Instytutu Sztuk Pięknych UWM.

Z grunwaldzkiego zwycięstwa i pejzażu artyści czerpią twórczą inspirację. Sugestywne malarstwo na jedwabiu przez wizyjność kompozycji przybliża patriotyczną treść.

Jedwabie mówią o przeszłości. Tkaniny różnią się barwami, ukazują operowanie kolorem przy pomocy rysowania, pryskania czy zalewania.

Odkryć jedwab, to znaczy zobaczyć elegancję, chłód, śliskość, połyskliwość materii.

Jedwab chwyta refleksy światła, przez swoją zwiewność staje się ruchomy. Malarze komponują dynamiczne całości, zdradzając emocjonalny stosunek do tematu. To, co realne traci się w tym, co abstrakcyjne. To, co abstrakcyjne jawi się poprzez to, co jeszcze przed chwilą mogło wydawać się realne. Tkaniny o żywych kolorach – nawet zadziwiająco ekscentryczne – osiągają niebagatelne efekty.

Projekt pod kierunkiem Izabelli Janiszewskiej-Obarek
Koordynator projektu: Violetta Jaskólska
Reprodukcje prac: Janusz Połom

Uczestnicy wystawy „Barwy Grunwaldu”:

Iwona Bolińska-Walendzik
Alicja Borsiak-Śleszyńska
Małgorzata Chomicz
Renata Dmucha
Anna Drońska
Eugeniusz Geno Małkowski
Marzena Huculak
Magdalena Jabłońska
Izabella Janiszewska-Obarek
Violetta Jaskólska
Ewelina Popowiecka
Andrzej Popiel
Izabela Skurzyńska
Marek Szczesny
Joanna Tomaszewska
Aleksander Woźniak
Renata Zimnicka-Prabucka

Pokazy „Barwy Grunwaldu”:

- 19 maja 2010 r. – Święto Wydziału Sztuki UWM – przemarsz z jedwabiami po Kortowie
- 11-23 czerwca 2010 r. – Galeria Stary Ratusz WBP i starówka olsztyńska
Wystawa w Starym Ratuszu realizowana ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach projektu „Na stronach ksiąg i Internetu – Grunwald przez wieki”. Projekt współfinansowany przez Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Projekt pod patronatem Sekretarza Stanu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotra Żuchowskiego.
- 13-19 lipca 2010 r. – Lidzbark Warmiński – jedwabie w przestrzeni miejskiej
- październik 2010 r. – Galeria Zamek w Reszlu

Starówka olsztyńska



Violetta Jaskólska



Eugeniusz Geno Małkowski



Izabella Janiszewska-Obarek

Alicja Borsiak-Sleszyńska



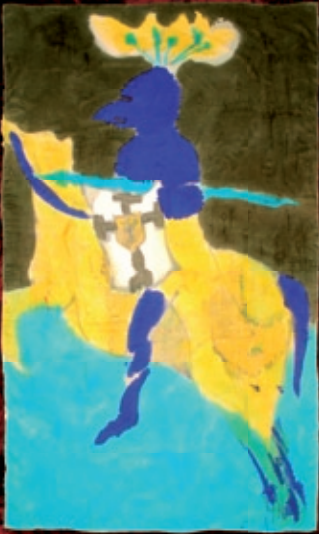
Joanna Tomaszewska



Galeria Stary Ratusz WBP



Marek Szczęsny



Lidzbark Warmiński



Renata Zimnicka-Prabucka



XX lat Instytutu Sztuk Pięknych

Piotr Obarek



W historii środowiska twórczego Olsztyna zawsze liczne grono twórczy artyści plastycy, ludzie wyczuleni na estetykę, dysponujący wiedzą i umiejętnościami w takich dziedzinach sztuki, jak: malarstwo, rysunek, rzeźba, grafika, projektowanie graficzne, fotografia, film animowany. Wielu z nich swoje działania artystyczne związało z pracą akademicką.

W 1990 roku w Olsztynie powołano kierunek Wychowanie Plastyczne na Wydziale Pedagogicznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Przez wysoki poziom nauczania po wielu przeobrażeniach organizacyjnych osiągnął on rangę Instytutu Sztuk Pięknych. Od 2009 roku wraz z Instytutem Muzyki stanowi Wydział Sztuki, będąc ważną częścią struktury Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Od tamtego czasu zatrudnionych w nim było wielu profesorów z różnych dziedzin sztuki. Tak jest do dziś.

Nauczyciele akademicy rozwijają wrażliwość twórczą swoich studentów, otwierając przed nimi drzwi do samodzielnej kreacji. Idea, zrodzona w umyśle, zamienia się w kreskę, plamę, znak, nabierając materialnego charakteru.

Tak za sprawą twórców rodzą się nowe byty, rzeczy oryginalne i niepowtarzalne. Absolwenci kierunku Edukacja Artystyczna w zakresie sztuk plastycznych stają się profesjonalnymi twórcami, uzyskując dyplom magistra sztuki. Wiedza o kanonach pozwala im nawet najśmielsze artystyczne wizje zamieniać w klarowne dzieła. Bo choć najwięcej kształtów ma abstrakcja, to od klasyków się wszystko zaczęło. Jako że sztuka nie zna granic, artyści olsztyńskiego Instytutu Sztuk Pięknych zaprezentują kawałek swojej wizji świata w Galerii Współczesnej BWA w Olsztynie, do której już teraz wszystkich Państwa zapraszam.



Opis prac

Prace wykonane przez studentów I roku II stopnia w pracowni projektowania graficznego prof. Piotra Obarka

- plakat 1 – Aleksandra Świniarska
- plakat 2 – Iwona Gardocka
- plakat 3 – Katarzyna Markowska
- plakat 4 – Maciej Zakrzewski
- plakat 5 – Maria Fiećko
- plakat 6 – Sebastian Mroczek



Iwona Liżewska Zabytkobranie

Europejskie Dni Dziedzictwa, organizowane od kilkunastu lat w całej niemal Europie, zachęcają mieszkańców do poznawania zabytków własnego regionu, do odkrywania piękna i śladów przeszłości najbliższej okolicy. Na Warmii i Mazurach Europejskie Dni Dziedzictwa, organizowane od 2004 r. przez liczne stowarzyszenia i instytucje, którym patronują Urząd Marszałkowski i Krajowy Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków (w „osobie” swojego terenowego oddziału w Olsztynie), cieszą się coraz większym zainteresowaniem i popularnością, zarówno wśród uczestników, jak i organizatorów imprez.

Jednym z tych ostatnich jest Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie, która w 2009 roku do szeregu dobrze znanych wydarzeń – spotkania, wystawy, wykłady, jarmarki – dołączyła nowy pomysł. Jest to starannie zaprojektowana – zarówno pod względem układu, jak i grafiki – internetowa strona „Zabytkobranie”, umieszczona na stronie biblioteki. W taki oto sposób Wojewódzka Biblioteka Publiczna zaprosiła wszystkich zainteresowanych historią i dziedzictwem kulturowym regionu do poznawania go i odkrywania przy pomocy umieszczonych tam informacji, również poprzez interaktywny udział.

Zachęca sama nazwa – zabytkobranie – ciekawa, dobrze brzmiąca, adekwatna do pomysłu. Równie zachęcający jest projekt graficzny – o czytelnej strukturze i lekkich, a nawet żartobliwych rysunkach. Co oferuje nam strona? Szereg różnych informacji, możliwość sprawdzenia własnej wiedzy, zaproszenie do jej aktywnego konstruowania, wreszcie sporą garść linków do innych pasjonatów i odkrywców. Mamy zatem zakładki informacyjne, jak „Uroda, historia, potencjał”, „Dla dociekliwych” czy „Nieznane szlaki”, quizy i konkursy w zakładce „Przyjemne i pożyteczne”, jak również propozycję włączenia się w konstruowanie strony w zakładkach „Zbiórka wrażeń” czy „Nasze naj...”. Na marginesie warto zauważyć, że właśnie ta ostatnia propozycja, czyli plebiscyt na najciekawszy zabytek Warmii i Mazur, była punktem wyjścia dla całego projektu. Plebiscyt przeprowadzono jesienią 2009 w czasie, kiedy odbywały się Europejskie Dni Dziedzictwa, a jego laureatem został kościół ewangelicko-augsburski w Pasymiu. Szkoda tylko, że ta wygrana nie znalazła już swojego wyraźnego odzwierciedlenia w „Zabytkobranii”.

Porcja informacji jest spora, choć czasami odnosi się wrażenie pewnej przypadkowości w wyborze (np. układy ruralistyczne i urbanistyczne w zakładce „Uroda, historia, potencjał” czy ograniczona liczba propozycji w zakładce „Nieznane szlaki”) czy wręcz zaskoczenie brakiem obiektów z Top-listy (jak Święta Lipka czy Gietrzwałd w grupie „Sanktuaria” zakładka „Uroda, historia, potencjał”). Z drugiej strony zaprezentowanie mniej znanych obiektów zasługuje na duże uznanie. Bardzo interesująca i godna wyróżnienia jest zakładka „Przechadzki”, która prezentuje zabytki uratowane, zadbane, pieczołowicie pielęgnowane. Pozostaje żywić nadzieję, że lista stale będzie poszerzana. Sporo ciepłych słów należy się też zakładce



Kościół ewangelicko-augsburski w Pasymiu.
Fot. Iwona Liżewska

„Dla dociekliwych”, gdzie nie tylko można znaleźć informację o książkach poświęconych zabytkom i historii regionu, ale również przy każdej pozycji jest odnośnik do katalogu biblioteki. To bardzo dobry pomysł. On też zapewne uwarunkował wybór, który jest niepełny i zawiera tylko część publikacji. Może jednak warto by się zastanowić nad poszerzeniem listy o ważne, choć nienależące do bibliotecznych zbiorów tytuły, z odpowiednią informacją. Zaskoczył mnie też podział i przypisanie określonych publikacji do poszczególnych kategorii. Myślę, że należałoby to jeszcze przemyśleć. Przykład? Pierwszy z brzegu. Książka mojego autorstwa poświęcona tradycyjnej architekturze wsi na Warmii i Mazurach, umieszczona została dość stereotypowo w grupie „Sztuka i budownictwo ludowe”. A przecież nic bardziej mylnego. Właśnie ta książka miała obalić stereotypowe przekonanie i udowodnić, że wieś to nie tylko sztuka ludowa, ale też architektura i budownictwo. Ostatnia uwaga dotyczy zadań konkursowych. Bardzo dobra propozycja, tylko odwoływałabym się do wiedzy na poziomie bardziej powszechnym, żeby nie powiedzieć popularnym. W dobie niechęci do zapamiętywania dat i faktów historycznych oraz akademickich tyrad zachęcajmy do poznawania przeszłości i dziedzictwa kulturowego w formie zabawy, lekkiej i atrakcyjnej, ale jednocześnie pożytecznej. Nie wychowujemy historyków, tylko ludzi uświadomionych na dziedzictwo i jego wartość.

Te drobne uwagi nie powinny jednak zamazać obrazu całości. Pomysł „Zabytkobrania” należy przede wszystkim chwalić, wspierać i promować. Po pierwsze za nazwę, po drugie za konstrukcję i różnorodność, ciekawe pomysły, po trzecie za atrakcyjną formę plastyczną, po czwarte wreszcie za sporą i rzetelną garść informacji. Życzyłoby sobie tylko należy, aby stale uzupełniana i poszerzana strona, zachęcała stałych odbiorców do jej ponownego odwiedzania oraz znajdowała coraz więcej nowych.

O kulturze w Internecie, czyli całkiem duże przedsięwzięcie

Marcin Kapłon

z-ca dyrektora CEiIK-u

Początkowo reakcje były różne. Od klasycznej miny z cyklu „rób co chcesz, a i tak ci się nie uda”, poprzez niedowierzenie i życzliwe zainteresowanie, aż po całkowite niezrozumienie istoty rzeczy („ale o sso chozi?”). Najbardziej wzruszyła mnie jednak reakcja Andrzeja Marcinkiewicza, dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, człowieka mądrego i bywałego w świecie, który dowiedziawszy się, w czym rzecz, wycedził: „...., że też ja na to nie wpadłem!”.

Ale choć na pomysł wpadliśmy my, ludzie z Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych, to przecież i Andrzej, i pracownicy Biblioteki, już mają swój ogromny udział w powstawaniu Leksykonu Kultury Warmii i Mazur. Ten internetowy zbiór informacji o wszystkich i wszystkim, co związane było i jest z kulturą naszego regionu, na razie powstaje w zaciszu pracowni, lecz już na przełomie roku zostanie pilotażowo udostępniony w sieci.

Ta swoista regionalna encyklopedia kultury jest częścią projektu „Parkowa 2.0”, realizowanego przez CEiIK przy udziale funduszy europejskich. O całym projekcie napiszę więcej przy innej okazji, dziś miejsca starczy tylko na Leksykon.

A zatem jeszcze raz: o co chodzi?

Zbierzmy to wszystko do kupy

Nie ma jak dotąd zebranej w jednym miejscu rzetelnej wiedzy o tym, co nazywamy kulturą Warmii i Mazur. Powstało oczywiście wiele leksykonów branżowych, jak słowniki pisarzy czy katalogi plastyków, nie ma jednak żadnej multimedialnej, kompleksowej encyklopedii kultury naszego regionu. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy ma ją jakkolwiek inny region w Polsce.

Przede wszystkim nasz Leksykon Kultury tworzony będzie na zasadzie Wikipedii (i na opensource’owym oprogramowaniu wiki). Dzięki temu założeniu powstanie społeczna, publicznie dostępna encyklopedia kultury, administrowana przez społeczny Komitet Redakcyjny, dowolnie wykorzystywana przez, na przykład, samorządy do działań promocyjnych. Dostęp do niej będzie wolny, otwarty i bezpłatny.

W tym docelowym kształcie projekt ruszy już od 1 stycznia 2012 roku. Aby jednak Leksykon spotkał się z waszą życzliwością i zainteresowaniem, postanowiliśmy sami zbudować dla niego fundamenty. W tym celu zaprosiliśmy Wojewódzką Bibliotekę Publiczną do współpracy przy tworzeniu pierwszego etapu naszej encyklopedii.

Rok 1945

W tym pierwszym etapie, w latach 2010-2011, zaplanowaliśmy wprowadzenie 5000 haseł, obejmujących okres po 1945 roku. Dlaczego tyle? Bo więcej się chyba nie da (to przecież 730 dni nieprzerwanej pracy, to blisko 7 kompletnych haseł dziennie, z uwzględnieniem multimediów, załączników, odnośników, bibliografii, linków etc.). Dlaczego tylko z tego okresu? Bo obraz kultury współczesnej naszego regionu jest o wiele trudniejszy do opracowania – jest często ziemią nieodkrytą. Poza tym, na przykład, w biografii – dajmy na to – biskupa Marcina Kromera niewiele się już zmieni, to hasło wstawić można zawsze. W biografiami nam współczesnych zmiany zachodzą na naszych oczach, czasem smutne i niechciane. Współczesność wymaga od nas większej troski i uwagi. Do historii sięgniemy za półtora roku.

Zdaję sobie sprawę, że podnoszą się teraz głosy zdziwienia: jak to, Leksykon Kultury Warmii i Mazur bez Świętej Lipki, bez Kopernika, czy Gizewiusza?! A właśnie, że tak. Na razie. Bo to jest Leksykon otwarty, nieskończony, wciąż rodzący się na naszych oczach i na naszych klawiaturach, to zbiór diametralnie inny niż papierowe książki, możliwy do uzupełnienia w każdym miejscu i o każdym czasie. To Leksykon 2.0.

Hafciarki spod Pizsa

O Koperniku napisano już chyba wszystko i wszędzie. Czy jednak Warmia i Mazury to tylko ten jeden celebryta? Czy malując obraz kultury naszego regionu, nie należałoby zostawić odpowiedniego miejsca postaciom nieco mniejszym, ludziom kultury działającym lokalnie, gminnie, zjawiskom i mechanizmom kulturowym o sile i znaczeniu nie tak ogromnym, ale przez to nie mniej żywym, nie mniej wartościowym, nie mniej godnym zauważenia, upamiętnienia i zwyczajnego szacunku? W Leksykonie miejsca wystarczy dla wszystkich. Znajdą się w nim oczywiście prawdziwi olbrzymi, jak Pan Hieronim Skurpski, czy Stowarzyszenie „Borussia”. Jednak równie starannie i rzetelnie opracujemy (zapewne jako pierwsi) notkę o Pani Zosi, artystce ludowej, hafciarce z jakiejś zapomnianej wsi pod Piszem czy Sępolem. Nie można bowiem uczciwie mówić o kulturze regionu, patrząc tylko na postaci olbrzymie. One trwają jak znaki, często wskazują nam kierunek skojarzeń, ale w ich cieniu kipi życie, rodzą się i umierają idee, dzieła, wpływy, inspiracje. W ich cieniu my wszyscy współtworzymy kulturę, zaspokajając swoje i cudze potrzeby, wchodząc w sieć interakcji i zależności, w układ powiązań idei, symboli i toposów.



Arno Holz

wiersze z *Phantasusa* (1898)

w przekładzie Krzysztofa Szatrawskiego

Internetowy charakter tego Leksykonu pozwala nam sprawiedliwie doświetlić każdy kąt kulturalnej mapy regionu. A jeśli popełnimy błąd lub czegoś nie dostrzeżemy od razu, to siądź do klawiatury i rozpocznij edycję hasła. To Twój Leksykon Kultury. W końcu współtworzysz go dla siebie.

Prapremierę pierwszej części Leksykonu Kultury Warmii i Mazur, złożonej z circa 2500 haseł, planuję na przełom 2010/2011 roku. Powołanie społecznego Komitetu Redakcyjnego i całkowite otwarcie Leksykonu odbędzie się po zakończeniu realizacji naszego projektu, z początkiem 2012 roku. Leksykon dostępny będzie na stronie Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych www.ceik.eu/, instytucji kultury samorządu województwa warmińsko-mazurskiego, pod adresem www.leksykonkultury.ceik.eu/. Leksykon składać się będzie z następujących kategorii haseł: osoba, instytucja/organizacja, dzieło, obiekt, wydarzenie kulturalne.

Krzysztof Krawiec – praca zgłoszona na konkurs na ekslibris „Felix Nowowiejski w Olsztynie” ogłoszony przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie.



Noc.
 Za moim oknem szumi klon,
 z jego liści spływają iskierki rosy na trawę,
 a moje serce
 wali.
 Noc.
 Pies... szczeka,... gałąź... trzeszczy, – cicho!
 Cicho!!
 Ty?... Ty?
 Ah, twoja ręka! Tak zimna, tak zimna!
 I... twoje oczy... martwe!
 Martwe!!
 Nie! Nie! Nie możesz pragnąć
 drżenia mych warg,
 ani moich łez, abym jak dziecko cię optakiwał –
 Nieszczęsna niewiasto!
 Zatem nocą,
 tylko nocą masz jeszcze odwagę,
 by nieśmiało,
 ze swej trumny
 skradać się do mnie na palcach?
 Nieszczęsna!
 Przekwitły
 wieńce, które uwilaś,
 uleciały
 pieśni, które śpiewałaś,
 a w twoich włosach, w twoich pięknych włosach,
 klei się teraz
 ziemia.
 Martwa, martwa, martwa...
 A twoje skrzydła, twoje biedne skrzydła!
 bezlitośnie podcięte
 z błyskotliwych ramion – ah, nie płacz!
 Nie płacz!
 Tu! Tu! Powinnaś usiąść przy mnie,
 nocą, co noc,
 aż poranek
 zszarzeje,
 aż słońce
 zaświeci,
 a świat,
 ten mądry świat, znów obojętnie potoczy się nad twoim grobem
 Słuchaj!
 Za moim oknem szumi klon,
 perli się rosa,
 a moje serce
 wali.
 Noc, noc, noc...

Arkadiusz Łuba
VIATOR

(fragment powieści)

Najwyższy punkt w sercu Alleystone. Jego topograficzne położenie umożliwiało spoglądanie zeń na ratusz, rynek rybny, katedrę, wąskie uliczki starego miasta, rozsypane się mury obronne i fosę, na zamek i arkadyjsko ułożone łuki, i kolumny prawie hanzeatyckich kamienic handlowych. Tu, w sercu tej niedosłej metropolii.

Tu krzyżowały się najpiękniejsze arterie tej części miasta z ich bocznymi odnogami. Hindenburg Street, Town-Hall Road, Master Street, Cross Street, Station Way, Jacob Street. Ostatnia z nich była ukoronowaniem tego magicznego wzniesienia, masywnej urbanistycznej wypukłości, z nazwy poświęcona patronowi miasta.

Niepozorne szarozielone elewacje budynku numer 23, antykwariatu, zamykały co poniedziałek w swoim wnętrzu literackie miejsce spotkań niewielkiej, ale bardzo żywotnej i twórczej grupy przyjaciół. To oni dyktowali niegdyś rytm młodokulturalnemu Alleystone. Byli zapalnikiem literackim, wywrotowym kotłem dziejów piśmienniczych, sabotażową odnogą współczesnej twórczości, książkową mafią. Oblewali farbą księgarnie, rysowali szkło okien wystawowych, wrywali kartki z bezwartościowych tomów przeterminowanych wieszczów. Nocami wkradali się niekiedy do bibliotek, obwiązywali regały sznurami, przykuwali się do kaloryferów. Protestowali głośnym i zrozumiałym głosem przeciwko pisarskiemu zakłamaniu, prostactwu i konformizmowi. Zachęcali do twórczości nieskrępowanej teoriami, wyzwolonej, mądrej i praktycznej. Ich dzieła prowadzone były podziemnymi kanałami, których w Alleystone było wiele. Mieli swoje grupy regionalne, rozsiane po całym kraju. Co tydzień spływały od nich raporty do centrali, która mieściła się w antykwariacie. Tu, po tym jak zaniechali wydawania swojego pisma i oddali pałeczkę młodszym i lepiej zorganizowanym, spotykali się w celu zapładniających umysł dysput. Czasem dołączało do nich kilka osób, które nie były bezpośrednio związane z ich wcześniejszymi i teraźniejszymi działaniami. Byli to jednak z reguły szacowni goście, emerytowani rebelianci, obeznani w najnowszych teoriach literackich, czytani, wytworni i wyborni w słowie, zawsze zapoznani z nowo wydanymi książkami, doskonale orientujący się w wydarzeniach w kraju i za granicą, znający najbliższe zapowiedzi wydawnicze – jednym słowem miłośnicy dobrej twórczości. Oczywiście każdy ze stałych bywalców mógł przyjść tu z osobą towarzyszącą. Dobre wychowanie było tu jedyną stale obowiązującą etykietą. Zabieranie głosu w dyskusjach nie było obligatoryjne. Liczyła się za to przeszłość partyzancka w literaturze. (...)

Ale z powrotem do książek. Olbrzymie okno wystawowe antykwariatu buchało bogactwem genetycznej różnorodności – książki popularnonaukowe, beletrystyka, poezja, dramat, kulturoznawstwo, historia. Skarby twórczości.

Krótko po siedemnastej, kiedy drzwi antykwariatu zamykały się dla klientów, sklep zmieniał się w coś na kształt salonu literackiego. A że w regałach mieściła się jedna z najlepszych bibliotek tego miasta – specyficzna, gdyż była na sprzedaż, i nietknięta działaniami wywrotowymi – potrzebne do dyskusji źródła były dostępne na wyciągnięcie ręki. Co tydzień konfiguracja księgozbioru zmieniała się nieco, ubogacała, bądź mizerniała. W każdym razie właścicielka dbała w najwyższym stopniu o swoją ofertę książkową, zabiegała o najcenniejsze z wydawniczego punktu widzenia pozycje. I – nie ukrywajmy – kierowała zakrojonym na szeroką skalę przemysłem literackim. Ale o tym szał, żadnych szczegółów.

Znajdowały się tu szesnasto-, siedemnasto-, osiemnasto- i dziewiętnastowieczne słowniki, znakomicie dokumentujące rozwój języka angielskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego, polskiego, hiszpańskiego i duńskiego – od głębokiej literaturoznawczej przeszłości po współczesność. Łacina i esperanto, greka i egipskie hieroglify, chińskie piktogramy, arabski i starocerkiewna cyrylica wieńczyły zbiory nauki o języku i dostarczały niezbędnej wiedzy w analizie dyskutowanych dzieł.

Tu zebrane były najważniejsze wydania poetów angielskich z dramatami Shakespeare'a na czele. Tu spoczywał kwiat myśli filozoficznej, począwszy od szacownych Platona i Arystotelesa, po Kanta, Kierkegaarda i Wittgensteina. Tu stały w dostojnie nienagannym szeregu dzieła niemieckojęzycznych mistrzów słowa. A obok nich to, co było najważniejsze z innych literatur, sporo z obszaru włoskiego, rosyjskiego i francuskiego.

Tu zlatywały białe kruki europejskiego handlu księgarskiego i antykwarycznego. Tu miała swoje przytulne i kompetentne gniazdko jedna z odnóg badań nad egipskimi hieroglifami. Stąd w świat wypuszczane były poszukiwane woluminy.

Skąd Isabelle Waleswood, rezolutnej właścicielce antykwariatu i inicjatorce salonów literackich, udawało się pozyskiwać wszystkie te skarby i być aktywną na tylu frontach, pozostanie pewnie na zawsze tajemnicą, z przestępczym zabarwieniem w tle. Ale czyż profesjonalistce nie można prowadzić czegoś nie do końca legalnego, jeśli tylko nie zagraża to niczyjemu życiu i sprawia ogromną frajdę?...

Arno Holz

wiersze z *Phantasusa* (1898)

w przekładzie Krzysztofa Szatrawskiego



Leżę jeszcze w łóżku i właśnie wypilem kawę
Ogień już w piecu trzaska,
przez okno
całą izdebkę wypelnia
śnieżna jasność.
Czytam.
Huysmans. Là Bas.
...Alors,
en sa blanche splendeur,
l'âme ty Moyen Age rayonna dans cette salle...
Raptem,
gdzieś w głębi domu,
kanarek.
Najpiękniejsze biegi!
Pozwalam książce opaść.
Zamykają mi się oczy,
znów układam głowę na poduszce – –

Pomiędzy rowy i szary żywoplot,
kołnierz marynarki wysoko, ręce w kieszeniach,
idę przez wczesny marcowy poranek.
Płowe trawy, migotliwe kałuże i czarne ugory
jak daleko sięgam wzrokiem.
Pomiędzy,
w samym środku białego horyzontu,
jak zakrzepłe,
wierzby w szeregu.
Zatrzymuję się.
Nigdzie głosu. Nigdzie choćby życia.
Tylko powietrze i krajobraz.
I jak niebo, bezsłoneczne, jest moje serce!
Nagle dźwięk.
Wpatruję się w chmury.
Nade mną,
radosny,
w coraz jaśniejszym świetle,
pierwszy skowronek!

Na środku placu,
wśród hałasujących dzieci,
przystaję.

Chłopcy,
klócą się o kulkę,
dziewczynka bawi się obręczą...

Mój Boże, wiosna!

I nic, nic nie dostrzegłem!

Przecież ze wszystkich krzewów
pękają już pąki!

Jestem najbogatszym człowiekiem świata!

Moje srebrne jachty
pływają po wszystkich morzach.

Złote wille polyskują w moich lasach w Japonii,
na niebiańskich wyżynach moje zamki przeglądają się w lustrach
alpejskich jezior,
moje purpurowe ogrody wiszą na tysiącach wysp.

Ledwie je zauważam.

Przechodzę obok
plecionej z brązu kraty
nad moimi kopalniami diamentów
pozwalam paść się jagniętom.

Słońce świeci,
ptak śpiewa,
schylam się
i zrywam mały polny kwiat.

I nagle wiem: jestem najbiedniejszym żebrakiem!

Nicość jest całą moją świetnością
wobec tych kropli rosy,
iskrzących się w słońcu.



ROMANTYCZNY I WIERNY SOBIE

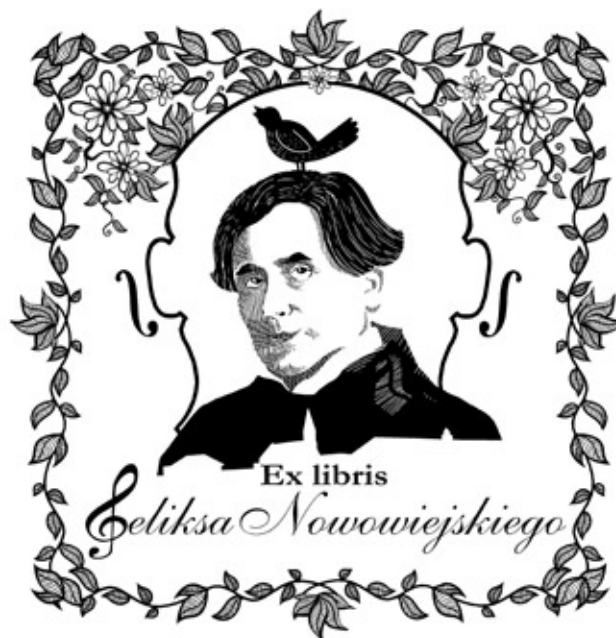
o twórczości Nowowiejskiego i jej obecności we współczesnym życiu muzycznym rozmawiamy z Krzysztofem Dariuszem Szatrawskim, badaczem i krytykiem muzycznym

W tym roku w Olsztynie w sposób szczególny upamiętniamy postać i twórczość Feliksa Nowowiejskiego. W Barczewie, jego rodzinnym mieście, pamięć o nim nie jest niczym nadzwyczajnym. Od lat organizowany jest tam festiwal muzyki chóralnej imienia Nowowiejskiego. Jest Pan członkiem Rady Artystyczno-Programowej festiwalu i organizatorem towarzyszącej mu sesji naukowej, która w tym roku, mimo że nie zabrakło tematyki rodzimej, przesycona była akcentami chopinowskimi...

Tak, tym razem wyjątkowo...

Ale rozumiem, że to nie były dwie oddzielne sesje...

Nie, choć hasła: „Chopin” i „Nowowiejski” zostały powiązane tutaj w sposób troszeczkę sztuczny – zależało nam na tym, żeby połączyć dwie rocznice. Natomiast przy okazji był to świetny moment do refleksji nad twórczością obydwu kompozytorów, których wbrew pozorom wcale nie ma łączy. Co łączy Chopina i Nowowiejskiego? Po pierwsze, byli to jedyni kompozytorzy w polskiej historii, którzy byli znani na całym świecie już za życia. Faktem jest, że Nowowiejski zrobił tak samo wielką, oszałamiającą karierę światową jak Chopin. Po drugie, Nowowiejski podobnie jak Chopin jest kompozytorem przełomu. Chopin zaczyna romantyzm, u niego są jeszcze ciągle obecne techniki kompozytorskie typowe dla klasycyzmu czy nawet nawiązania do baroku, a jednocześnie jest to już intelektualnie i mentalnie zupełnie inna epoka, jest to jeden z pierwszych wielkich romantyków. Nowowiejski z kolei, wychowany na muzyce romantycznej, w pierwszym okresie twórczości jest kompozytorem romantycznym, a w późniejszym okresie nawiązuje również do innych stylów i nurtów. Ale, co jest bardzo ciekawe, u Nowowiejskiego nie ma przełomu, nie ma momentu, kiedy on całkowicie rezygnuje z romantyzmu, odwraca się od niego i przechodzi na pozycje całkowicie przeciwstawne. Dla niego pewne przejawy buntu innych kompozytorów, na przykład antyromantyczny impresjonizm czy elementy stylu impresjonistycznego, otwierają nowe możliwości, nowe obszary techniczne, które on zagospodarowuje, ale nie w opozycji do romantyzmu, lecz jako szansę dla ucieleśnienia swoich idei. Uważam to za bardzo istotną cechę Nowowiejskiego, która go niezwykle wyróżnia. W tym czasie pojawia się w Europie, jako element buntu antyromantycznego, powrót do form klasycznych, w takim wydaniu jak u Strawińskiego, albo w takim wydaniu jak u Hindemitha, u którego widać przywiązanie do form jako takich



do form, które nie miały zawierać żadnej treści. U Nowowiejskiego, i tu jest on z ducha romantyczny, ta treść zawsze istnieje w muzyce. W jego twórczości w zasadzie nie ma utworów, które byłyby czystą sonatą czy triem fortepianowym, czy symfonią, czyli formą pozbawioną znaczeń pozamuzycznych. U niego zawsze jest to muzyka w większym lub mniejszym stopniu programowa, gdzie ten program jest, bardziej lub mniej jasno, ale określony. Nawet symfonie organowe, które nie mają znaczącego tytułu i dopisanego programu literackiego, nie są muzyką wyłącznie absolutną. I nie można ich traktować jak czystej formy symfonii, ponieważ Nowowiejski bardzo często w swoich utworach cytuje, na przykład fragmenty powszechnie znanych pieśni religijnych, przez co natychmiast kieruje uwagę na określone obszary znaczeniowe. I ta semantyczność jego muzyki, fakt, że ta muzyka nigdy nie jest abstrakcyjna, sprawiają, że jego utwory można dekodować jako pewnego rodzaju wypowiedzi intelektualne i filozoficzne.

Powróćmy jeszcze do sesji. W tym roku była ona zdominowana przez twórczość Chopina i Nowowiejskiego oraz ich wzajemne relacje. Natomiast zeszłoroczna sesja była zestawieniem Nowowiejskiego i kompozytorów współczesnych związanych z naszym regionem.

Tak mogłoby to wyglądać, ale to nie miało być zestawienie ani przeciwstawienie. Generalnie hasłem sesji była muzyka Warmii i Mazur, i zależało mi na tym, żeby to nie była tylko muzyka Nowowiejskiego, ale wszystkich kompozytorów związanych z Warmią i Mazurami. Oczywiście to nie zawsze się udaje, ale myślę, że pewnego rekonansu dokonaliśmy. Referaty dotyczyły nie tylko kompozytorów związanych z Warmią i Mazurami przez miejsce zamieszkania, ale

też kompozytorów, którzy komponowali dla olsztyńskich twórców, na przykład dla zespołu Pro Musica Antiqua. Wiele występów było oczywiście poświęconych Nowowiejskiemu, bo on w naturalny sposób będzie zawsze towarzyszył tej sesji, tak jak jego muzyka zawsze będzie wykonywana na tym festiwalu chóralnym.

Obchodzimy właśnie w Olsztynie Rok Feliksa Nowowiejskiego. W związku z tym powstało wiele inicjatyw, które mają powstać i twórczość kompozytora przypominać i popularyzować. Jednak jest instytucja, która już wcześniej zaczęła działać na tym polu, mam na myśli Warmińsko-Mazurską Filharmonię im. Feliksa Nowowiejskiego, która rozpoczęła nagrywanie jego utworów. Do tej pory nagrano „Pieśni Morskie”, „25 Pieśni Ludowych z Warmii” i dwie msze („Missa Pro Pace” i „Missa Stella Maris”).

Jest to przedsięwzięcie na ogromną skalę i bardzo pięknie, że to się zaczęło wreszcie dziać, dlatego że wcześniej Nowowiejski oczywiście istniał na płytach, tyle tylko, że było tego bardzo niewiele. Kiedyś się ukazała na przykład „Missa Pro Pace” w wykonaniu „Poznańskich Słowików” pod dyktando Stuligrósza, jeszcze na winylowych płytach. Z tym, że to śpiewał chór chłopięcy, a poza tym była to wersja z organami, czyli ta wersja pierwotna. Niedawno ukazało się drugie wydanie tej mszy, znów w Poznaniu, a olsztyński jest trzecim. Ale to utwór znany i stąd tyle nagrań. Natomiast jest ogromna ilość dzieł Nowowiejskiego, które są nie tylko nienagrane, ale nawet niewykonywane. A nawet jeśli są wykonywane, to nie dokumentuje się tych wykonań lub te nagrania istnieją jako półoficjalne i znajdują się w archiwach radiowych, ale nie są publikowane. I to jest fatalne, bo jeśli mówimy, na przykład, o historii muzyki, o historii wykonawstwa, o historii kultury muzycznej, to takie rzeczy powinny być przynajmniej udokumentowane i dostępne w różnego rodzaju archiwach. Stąd, na przykład, inicjatywa, żeby w Salonie Muzycznym w Barczewie właśnie taki rodzaj archiwum powstał. I ono właściwie już istnieje – są tam zebrane taśmy, na przykład z wielu olsztyńskich wykonań kompozycji Nowowiejskiego z lat 80-tych w ramach festiwalu Dni Muzyki im. Feliksa Nowowiejskiego. Ale to są stare taśmy szpulowe, których dzisiaj już nawet nie ma na czym odtwarzać. Dlatego tak ważna jest inicjatywa nagrania dzieł Nowowiejskiego.

A co Pan sądzi o tym wyborze, o tej kolejności nagrywania? Najpierw ukazały się pieśni, potem msze. Czy to było podyktowane względami praktycznymi, czy muzycznymi?

Ja myślę, że to był naturalny wybór. Przede wszystkim pieśni to jest największa część dorobku Nowowiejskiego, jeżeli chodzi o ilość poszczególnych utworów. Ale myślę, że to mogła być decyzja podyktowana jeszcze czymś. Otóż w przypadku „Pieśni Morskich” był to jeden z tych śpiewników, które odegrały istotną rolę w przedwojennej Polsce, powiedzmy, w kulturze muzycznej przedwojennej Polski, dlatego że te śpiewniki Nowowiejskiego były zalecane do użytku szkolnego itd. One były dotowane przez różnego rodzaju organizacje społeczne i w jakiś sposób funkcjonowały w szerokim obiegu, a jednocześnie na tle innych śpiewników patrio-



tycznych (takich czysto patriotycznych, które były często bardzo prosto opracowane, tak żeby każdy chór mógł to zaśpiewać) „Pieśni Morskie” są bardzo trudne, przynajmniej niektóre z nich. Wymagają chóru o dużych możliwościach, o dużym wolumenie i artystycznie wymagają dużo pracy.

No właśnie, w swoich recenzjach wspomina Pan o trudnościach interpretacyjnych. Na czym konkretnie polegały te problemy?

Tu przede wszystkim chodzi o trudności wykonawcze „Pieśni Morskich”, które polegają między innymi na tym, że czasami te pieśni były pisane pod wymagania konkretnego chóru i wówczas Nowowiejski komponował to w taki sposób, żeby akurat ten chór był w stanie to zaśpiewać, czyli na przykład miał mocne soprany, więc powierzał sopranom partie bardziej popisowe. Są też inne powody: pamiętajmy o tym, że Nowowiejski był dyrygentem i animatorem chórów, on ożywiał te chóry, on dbał o to, żeby chóry śpiewały lepiej jutro niż dzisiaj, a pojutrze jeszcze lepiej niż jutro. W związku z tym lubił piętzyć różnego rodzaju wymagania. I dlatego niektórzy chórzyści mówią, że te utwory są napisane jakby pod włos, w taki sposób, że trudno je zaśpiewać. I rzeczywiście tak jest, że niektóre jego utwory wymagają naprawdę doskonałej intonacji i doskonałego warsztatu chóralnego.

Jeśli natomiast mówimy o interpretacji, to uważam, że Benedykt Błoński poradził sobie z tym w sposób naprawdę rewelacyjny. Dlatego że cała tradycja śpiewania „Pieśni Morskich” w Polsce to była tradycja wywodząca się jeszcze z okresu przedwojennego. To śpiewano najczęściej z takim dosyć mocnym, wyraźnym *vibrato*. I to tkwiło w naszej tradycji. Jak największy chór, jak największe

vibrato, głosy najczęściej nieszkolone – w rezultacie to wszystko brzmiało niezbyt dobrze. I wielu ludzi mówiło, że z „Pieśniami Morskimi” coś jest nie w porządku, że one nie brzmią tak, jak byśmy dzisiaj chcieli. Oczywiście, one nie mogą brzmieć tak, jak byśmy dzisiaj chcieli, jeżeli były wykonywane w sposób dostosowany do estetyki wykonawczej lat międzywojennych. Ale myślę, że w przypadku Nowowiejskiego jest tak, że zbyt tradycyjne wykonania powodowały odrzucenie części jego muzyki. I ta bardziej nowoczesna interpretacja, którą zaproponował Benedykt Błoński, jest moim zdaniem strzałem w dziesiątkę, dlatego że on nie zaprzeczył tym starym zasadom interpretacji, nie zaprzeczył tej starej, dawnej estetyce, on znalazł bardzo rozsądny kompromis. I ten kompromis moim zdaniem jest jego sukcesem.

A ten drugi zbiór – pieśni warmińskie? Czy są to utwory młodzieńcze Nowowiejskiego?

Absolutnie nie. Charakterystyczną cechą twórczości Feliksa Nowowiejskiego jest jej stylistyczna i semantyczna spójność. Konsekwentnie eksponowane wątki w różnych okresach występują, różniąc się tylko nasileniem. To jest właśnie to – u Nowowiejskiego nie ma przełomu. On pewnego dnia nie powiedział sobie: zamykam poprzednią epokę, będzie teraz nowa epoka, nie jestem już romantykiem, teraz będę ekspresjonistą. U niego pewne nowe wątki czasami się pojawiają, ale te dawne nadal funkcjonują. On ciągle pamięta o sobie. On ciągle jest tym samym Nowowiejskim. Moim zdaniem jest to cecha świadcząca o wielkiej dojrzałości emocjonalnej, już nie tyle twórcy, co człowieka, o wierności sobie samemu.

Dziękuję za rozmowę.

Rozm. Sylwia Białecka



Bożena Kraczkowska

www.malachitowylas.blogspot.com

Cholery jedne

Smutek i czas po twarzy mi biegnie
i razem biegną cholery jedne.
Tak wiernie.
Razem.
Tak skroń przy skroni...
Smutek i czas po twarzy goni.

Smutny czas smędzi ku krawędzi,
ku skończoności cholera pędzi
i zerka w lustro z obłędem w oku,
i bruździ lekko, miętko, z doskoku.
Już jest pod rzęsą!
Już pod powieką!
Już się przetacza szkarłatną rzeką
znów blisko smutku i znowu wiernie,
smutek i czas po twarzy mi biegnie.

i... w jasnym oczach się odbija
blednie w źrenicy i przemija
nie chce się skulić i nie chce zmaleć!
Woli w błękitcie kotłować się!
Szaleć w zmysłowych ustach.
Kwiatem jabłoni bielić się,
pachnieć w otwartej dłoni.
I niech tak pachnie!
Niech się wywija!
Niech tylko myśli moje omija.

Wydzieranka

Bo jak to jest?
Skąd taki gest, że jeden ma,
a drugi nie?
Że jeden ma, a drugi... wydziera się.

Wydziera życie, jak wydzierankę.
Strzępek do strzępka, jak wyklejankę
szarpie, układa i znowu psuje,
bo ni cholery nie pasuje!

Z życia wydziera nie to, co chce,
lecz to, co może wydrzeć w uporze.

Więc jak to jest?
Skąd taki gest, że jeden ma,
a drugi nie.
Że jeden ma, a drugi - wydziera się!

Bogusław Żmijewski

Nutka poezji

Poezja śpiewana, recytowana, czytana, rapowana – ile byśmy przymiotników nie wymyślili, najważniejszym pozostanie jeden – prawdziwa. O to, czym jest poezja śpiewana, spór trwa od pierwszych Spotkań Zamkowych, od czasu, gdy pierwszy raz użył tego pojęcia Andrzej Ibis-Wróblewski. W tej szczególnej zbitce semantycznej najważniejsze znaczenie ma słowo „poezja”, ta prawdziwa, niedefiniowalna, zbudowana z emocji i tego czegoś ulotnego, co ledwo mieści się między słowami – metafory. Wszystko inne jest tylko formą jej interpretacji, środkiem przekazu. W swojej istocie poezja jest przeciwieństwem dosłowności; w czasach, kiedy wszystko jest dosłowne, kiedy wszechobecne kamery odzierają nas z intymności, a śmierć jest pokazywana z detalami jako atrakcyjny produkt medialny, tym, co może nas uratować od kompletnej bezduszności, jest właśnie poezja.

Bez tej poezji nie byłoby tak mocno wrośniętych w pejzaż artystyczny Olsztyna już XXXVII Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję”. Jak dobre, wiekowe drzewo Spotkania Zamkowe zaczynają wypuszczać „spotkaniowe odrosty”. I tak w tym roku „poezja śpiewana” dodatkowo zagościła w Szczytnie, Kętrzynie i Elblągu, przy czym w dwóch pierwszych miastach miała szerszy, dwudniowy wymiar. W Szczytnie i Kętrzynie odbyły się koncerty konkursowe Spotkań o Nagrodę Agnieszki Osieckiej, recitale Basi Raduszkiewicz, Wojtka Gęsickiego oraz koncert „podwójny” Grzegorza Turnaua i Andrzeja Sikorowskiego, zatytułowany „Pasjans na dwóch”. Co oczywiste, koncerty zamkowe odbywały się również w Olsztynie, a tradycyjnie – w pierwszy sobotni wieczór lipca – Spotkania zwińczyła Gala finałowa, podczas której, oprócz możliwości posłuchania tegorocznych laureatów, widzowie mogli obejrzeć widowisko koncertowe „Biała Lokomotywa” według koncepcji Jerzego Satanowskiego do tekstów Edwarda Stachury. Obsada koncertu była imponująca i wyłącznie męska – ze Zbigniewem Zamachowskim, Mirosławem Baką i Jackiem Bończykiem na czele, zaś wykonawcom towarzyszył zespół „Kameleon” Hadriana Tabęckiego i Elbląska Orkiestra Kameralna.

Równie okazały był pierwszy olsztyński, czwartkowy koncert Spotkań. Jego wymiar wyznaczyła Basia Raduszkiewicz, zapraszając do koncertu „Ptaki powrotne. Live” także około 30 muzyków, którzy towarzyszyli jej wykonaniom pięknych wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Tegoroczne Spotkania miały jeszcze jeden olsztyński akcent. To piątkowy koncert „Czerwonego Tulipana”, zatytułowany „To Twoje oczy”, wieńczący jubileusz 25-lecia zespołu. Zarówno ten koncert, jak i Gala Finałowa, zostały zarejestrowane przez Program II TVP – na chwałę Spotkań i ku pamięci potomnych.

Ogólnopolskie Spotkania Zamkowe są wartością samą w sobie, dlatego warto zarezerwować czas na tę nutkę poezji, w nie zawsze gotyckim stylu, ale w gotyckiej scenerii.



Koncert *Biała Lokomotywa* – wieczór kompozytorski Jerzego Satanowskiego.
Fot. Archiwum CEiIK



Laureaci XXXVII Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję”.
Fot. Archiwum CEiIK



Off-poezja według autorskiej koncepcji Piotra Bukartyka.
Fot. Archiwum CEiIK



Ptaki Powrotne. LIVE. Fot. Przemysław Wiśniewski



Gdyby Sienkiewicz w 1865 roku dał się ponieść młodzińskiej fantazji i rodzącym się literackim porywom, to dziś kurz opadałby majestatycznie na półki nie z „Krzyżakami” a ze „Spytkiem z Melsztyna”. Taki bowiem tytuł chciał nadać swojej powieści historycznej niespełna dwudziestoletni Sienkiewicz. I chyba dobrze się stało, że nierozważny wówczas młokos wzięwszy na spytki historyka Michała Balińskiego w temacie Spytki z Melsztyna ostatecznie ze Spytki zrezygnował.

Po raz drugi Sienkiewicz wziął się za „Krzyżaków” dwadzieścia siedem lat później, w 1892 roku. Praca wrzała, redaktorzy warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” gorączkowo zacierali ręce oczekując nadchodzących rękopisów. Na nieszczęście Sienkiewicz pojął był nagle za żonę Marię Wołodkowiczównę, która to panienka po uwiedzeniu naszego Henryka, w dwa tygodnie po ślubie uciekła do mamusi. Twórcza maszynieria przyhamowała. Koncepcja powieści pękła niczym bańka mydlana. Sienkiewicz po traumatycznej przygodzie matrymonialnej z dziewiętnastolatką musiał jakoś odreagować. Spłodził zatem nudną jak flaki z olejem (co najmniej z czwartego tłoczenia) „Rodzinę Połanieckich”, gdzie z gorzką satyrą sportretował zbiegłą małżonkę i teściową rajfurkę.

Znów powrócił do historii wojny Polski z Zakonem Krzyżackim, ale pomny własnego nieszczęścia i owładnięty poczuciem winy oraz „połaniecką” czkawką, z niechęcią odłożył na bok Długosza i Szajnochę (z których to autorów czerpał ducha dla niedosłej powieści) i napisał „Quo vadis”.

Z drugiej strony może to i dobrze, że przerwał wtedy pracę nad „Krzyżakami”, bo gdyby ją kontynuował, to nie otrzymałby Nobla za „Quo vadis”. A tak dzięki temu antraktowni mamy i Nobla, i „Krzyżaków”.

Rzucił się więc w wir pracy, a akcję powieści rozciągnął na kilkanaście lat, taką na przykład Danusię poznajemy jako dziecko jeszcze, a rozstajemy się, gdy już w pełni kształtów kobiecych dostała.

Jednak mistrzostwo Sienkiewicza widać przede wszystkim w wyrazistym i żywym przedstawianiu postaci. Pisarz tak odmalował okrutnego Kuno von Liechtensteina, iż przez długi czas wszyscy byli przekonani, że to postać zmyślona, literacka. Tak jak Zbyszko czy też Jurand ze Spychowa. Dopiero po dokładnym przeanalizowaniu obrazu Matejki okazało się, że Kuno żyje, choć na obrazie widać, że poległ na zielonej murawie.

W zasadzie sama bitwa pod Grunwaldem, w odróżnieniu od „Krzyżaków 1410” Józefa Ignacego Kraszewskiego, jest krótkim epizodem. Z historii wiemy,

że szala zwycięstwa co rusz przechylała się. Dobrze, że Jagiełło nie zachował się jak Kościuszko, który po trzydniowej libacji, nawalony i radosny jak koziołek Matolek, wysłał wojsko w pole pod Maciejowicami, a potem sam wyruszył podowodzić troszeczkę i, zapomniawszy mapy, skierował główne uderzenie własnych wojsk na siebie. Dopiero by się porobiło.

Jagiełło zachował daleko idący umiar i w historii bitwy dał się poznać głównie z tego, że przyjął dwa nagie mięcze będące symbolem naszego zwycięstwa. Tak jak symbolem siły Herkulesa jest jego maczuga w Ojcowie. Sama bitwa, jak wiemy, zakończyła się w ostateczności pogromem wojsk krzyżackich. Wybito wszystkich mistrzów i większość komturów. Wybito tak doszczętnie, że potem nie było po stronie krzyżackiej nikogo, kto mógłby podpisać akt kapitulacji. Sienkiewicz o tym nie wspomina, zatrzymując się nad opisem pola bitewnego, gdzie podobno zostało więcej nieboszczyków niż przyszło, a nad tym zespołem wrażeń wizualnych wznosił się zapach krwi i świeżo skoszonej trawy... A Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca.



Anita Romulewicz Widok z werandy

Tomek szybko ułożył swoje plany na wakacje. Wypad do Elku i „wolna chata” u jednego z kolegów – to było to, na co czekał. Jednak zanim się „urwie”, musi z nudnym ojcem wytrwać pod jednym namiotem, w dodatku rozbitym gdzieś za stodołą na polu pełnym krowich placzków. Też mi atrakcja. Dla nastolatka osławione walory turystyczne Puszczy Piskiej, choćby nie wiem jak niesamowite, nie są przekonujące, kiedy „kochany tatuś” będzie na siłę nawiązywał więź z dorastającym synem. Wydawać by się mogło – biedny chłopak. Jednak Wiesław Chrostek, autor książki „Tajemnice czarnej wdowy”, umiejętnie wprowadza nas w relacje rodzinne bohatera, sprawiedliwie dając głos każdemu z jej członków.

Ten wyjazd dla zapracowanego pana Wojtka był ważny, planował go już wiele razy, ale dopiero teraz udało się znaleźć czas. Syn zaraz będzie zdawać maturę. Jest prawie dorosły. Baśka to też już nie dziecko. Chciałby poznać ich bliżej, podzielić się pasją, tyle powiedzieć. W stolicy żyje się szybko, może za szybko. Nie chciałby, żeby pochłonęło ich to „warszawskie niebko”. To dobre dzieciaki, a tu, u pani Marty, będzie okazja zwolnić, wypłynąć na jezioro i w milczeniu podglądać ptaki.

Powstało już wiele dobrych książek o dorastaniu, o niełatwym odnajdywaniu się w życiu dorosłych. Z reguły koncentrują one uwagę na ścieraniu się pokoleń, naturalnym buncie wobec wszystkiego, co zastane, i odkrywaniu własnych możliwości. „Tajemnice...” także wprowadzają nastoletniego czytelnika w świat, w którym młody chłopak niepostrzeżenie staje się mężczyzną. Początkowo kapryśny i niewdzięczny, nie budzi sympatii. Choć niewątpliwie inteligentny, nie ma jednak patentu na łagodny skok w dorosłość. Nosi w sobie kompleksy, wybucha gniewem, by po chwili ukryć się w wymyślonej przestrzeni. A kiedy już skłonni jesteśmy szczerze współczuć ojcu, coś zaczyna się zmieniać.

Widziane przez Tomka tragedie i dramaty innych trywializują jego problemy. Zaczyna też działać magia miejsca. Niczym klasyczny romantyk, zapadający się w naturę, zaczyna mimowolnie „zakorzeniać się”. A wszystko wokół, co początkowo wydawało się płaską ilustracją, z czasem przybiera wielowymiarowy kształt. I przekonująco przemawia, jak stary gawędziarz toczący legendę narosłą wokół kamyka, piórka czy uschłego liścia. To ogromny walor książki. W „Tajemnicy czarnej wdowy” taką magię ma zatoka Galindów, gdzie drzewa, co niejedno widziały, szumią o pruskich grodziskach, kurhanach i rycerzach zakonnych. Świątynne dęby płaczą wraz z niewinnymi dziewczętami, składanymi w ofierze okrutnemu Perkunowi. Stojąca nieopodal samotna kapliczka jak spowiednica od lat wsłuchuje się w opowieść o przedwojennej nieszczęśliwej miłości Niemca i Polki. Ukryte głęboko w lesie groby żołnierzy przypominają o okrutnym czasie wojny i nie mniej bezwzględny odpłacaniu za krzywdy po latach.

Powieść Chrostka pomimo poruszanych trudnych tematów pozostaje w tonie lekka i wakacyjna. To sztuka niełatwa – a autorowi się udało. Bo przecież kogo bawią kłótnie syna z ojcem? Czy mogą śmieszyć zamrowane szanse i samotność? Albo nieodpowiedzialność ojca ro-

dziny... Mimo tego, wokół tych tragicznych postaci najczęściej rodzi się najwięcej humoru. Z pobłażliwością patrzy się wówczas na zdumionego bohatera, który odkrywa, że ojciec też był młody, zbuntowany i zakochany. Podobnie jak na prostodusznego, choć ciągle „zawianego”, Stefana na różowej damce lub z kaloryferem pod pachą.

Autor stara się w przyjemny sposób pokazać młodym, co ważne w życiu. Jednak jedynie naprowadza czytelnika, unikając mentorskiego tonu. Raczej służy wzorem. Wrzuca Tomka w środowisko ludzi, jakich do tej pory chłopak nie znał. Koncentruje jego sprawy wokół domu wiekowej gospodyni, symbolu ciepła, otwartości i mądrości. To u niej, na werandzie, zaczyna zauważać więcej, niż tylko wszechogarniającą mazurską zieleń. Między wierszami codziennych rozmów, z gestów poznaje, czym jest szacunek i przyjaźń. I że niewiele jest odwagi w zwykłej bójce z miejscowym osiłkiem.

W tej scenografii autor rozważnie umieszcza postaci. Jak w teatrze każdy ma tu do odegrania swoją rolę. Pani Marta i jej młodzieńcza miłość do Kurta Rohmlitza, Wiktor – znawca i badacz Prus, ojciec – pasjonat o romantycznej duszy, czy stale podchmielony Stefan w swoim popeegeoisim „Manhattanie”. A nawet mały Jędrus – pogodne dziecko pogorzalców. To świat wielopokoleniowy, pełen historii i tradycji, opasany klimatem wzruszeń, humoru i przygody. To przestrzeń, na którą Tomek nie może pozostać obojętny. Jak bowiem nie włączyć się w pomoc rodzinie, której spalił się dom, jak ignorować sygnały o popełnionym przestępstwie. Tajemnica odnalezionych przypadkiem, a dawno zaginionych, dokumentów i listów porwya bohatera, odsuwając jego znudzenie i rozgoryczenie. I jeszcze te oczy Natalii...

Czytelnicy zgodzą się zapewne, że w „Tajemnicach czarnej wdowy”, tej przede wszystkim poważnej książce, nietrudno odnaleźć analogie do klasyki młodzieżowej powieści detektywistycznej. Książka kulturuje tradycje twórczości Makuszyńskiego i Nienackiego. Przyjacieli ojca – archeolog, niczym legendarny Pan Samochodzik, przetrząsa archiwa w poszukiwaniu odpowiedzi na piętujące się zagadki. Z pasją snuje opowieści o świętym Wojciechu, Galindach czy Sasinach, i jest nieocenionym źródłem informacji. Zaś sam Tomek, choć nie tak lotny i z dystansem do siebie, jak Szatan z siódmej klasy, odważnie i z poświęceniem rozwiązuje kryminalną układankę, idąc tropem tajemniczych listów. Dzięki pomocy bystrej i „zjawiskowo pięknej” dziewczyny staje się bohaterem. A w oczach innych jakby bardziej dorosłym.

Powieść Wiesława Chrostka to książka z gatunku kryminału dla młodzieży. Jednak wyróżnia ją ciekawy mariaż regionalnych legend i podań z wątkami obyczajowymi oraz konwencją detektywistyczną. To dobra lektura dla młodych ludzi zainteresowanych zagadką, historią czy przygodą z dreszczykiem. Wbrew pozorom nie jest to jednak książka typowo „chłopaćka”. Miłośniczki romansu znajdą też coś dla siebie, a i zapracowanym dorosłym pozwoli na chwilę zwolnić, by móc uważnie przyjrzeć się, czy nie widać czegoś więcej z ich „werandy”.

Wiesław Chrostek, „Tajemnice Czarnej Wdowy”, Warszawa, Telbit, 2009.

Grunwaldzki rozkład jazdy 2010

Tym, których przeraża zgiełk bitewny, nawet ten inscenizowany, polecamy wystawy w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej towarzyszące obchodom rocznicy bitwy.

„**Droga do Grunwaldu**”, czyli Grunwald nie tylko z perspektywy historycznej. Wystawa prezentuje bitwę również jako topos literacki, inspirację artystyczną i miejsce o dużych walorach turystyczno-krajoznawczych, o których można się przekonać, wędrując jednym ze szlaków turystycznych. Książki i tablice informacyjne można oglądać w Starym Ratuszu WBP do września 2010 r.

„**Kulisy Grunwaldu**”, czyli co tak naprawdę dzieje się podczas inscenizacji bitwy. Wystawa fotograficzna autorstwa Rafała Trebińskiego w Czytelnii Książek WBP (Stary Ratusz) – od 2 lipca 2010 r.

„**Carmina Patria**”, czyli hymny od Bogurodzicy do hymnu Solidarności. Wystawa prezentuje historię polskich pieśni hymnicznych – teksty, tradycję wykonywania. Tych, którzy chcą pieśni nie tylko zobaczyć, ale i usłyszeć, zapraszamy 9 lipca 2010 r. na otwarcie, które śpiewem uświetni zespół ProForma.

Wszystkich zainteresowanych problematyką bitwy grunwaldzkiej zachęcamy do lektury publikacji towarzyszących obchodom: grunwaldzkiego zeszytu „**Bibliotekarza Warmińsko-Mazurskiego**” wydanego przez WBP, numerów specjalnych czasopism „**Mówią Wieki**”, „**Spotkania z Zabytkami**” oraz „**Polityka**”, wydawnictw z serii „**Biblioteczka Grunwaldzka**” przygotowanej przez Ośrodek Badań Naukowych w Olsztynie oraz publikacji naukowych towarzyszących licznym konferencjom.

O inicjatywach WBP przeczytacie na stronie www.wbp.olsztyn.pl/grunwald, na której znajdują się również grunwaldzkie zbiory Dokumentów Życia Społecznego WBP w Olsztynie, ciekawostki o bitwie oraz odrobina rycerskiej rozrywki.

Małgorzata Zegler Moja „Droga do Grunwaldu”

O chodnik stukają ciężkie buty. Słychać szcęk zbroi. Chwilę potem odzywa się donośny męski głos.

– Bitwa... – szepczą ludzie, przekazując wiadomość z ust do ust.

Zza rogu Starego Ratusza wylania się dwóch niecodziennie ubranych mężczyzn. Jeden trzyma kopię, drugi dzierży topór. Obaj uśmiechają się przyjaźnie, zapraszając przechodniów do budynku biblioteki.

– Bitwa pod Grunwaldem – mówi coraz więcej ludzi, a w czytelnii na pierwszym piętrze zbierają się kolejne osoby.

Pomieszczenie wypełniają już nie tylko bibliotekarze. Są tu młodzi i nieco starsi, uczniowie i nauczyciele, zarówno znani, jak i nigdy niewidziani – wszyscy ciekawi tego, co będzie się za moment działo.

W rogu sali stoi rycerz – atrapa. To na jego tle ustawia się, otwierająca wystawę, dyrektor WBP Wiesława Borkowska-Nichthausner. (Kątem oka dostrzegam kobietę tłumaczącą przemówienie na język migowy. Widząc zainteresowanie na twarzach jej podopiecznych, mimowolnie się uśmiecham). Teraz głos zabiera Anita Romulewicz, po niej Izabela Frąckowiak.

Jeden z rycerzy od rozpoczęcia wystawy tkwi nieporuszenie w miejscu, stoi oparty o kopię, wodząc jedynie po zebranych wzrokiem. Intryguje. Ściąga na siebie uwagę widzów.

Chwilę później słuchacze są już jednak zajęci czymś zupełnie innym. Rozeszli się po sali, oglądając pozawieszane na ścianach tablice. Przyglądają się, czytają, dociekają, zgłębiają wiedzę, chcąc wynieść stąd jak najwięcej informacji o mającej miejsce 600 lat temu wielkiej bitwie pod Grunwaldem.

Niektórzy podążają w stronę *hallu* – tam czeka już na nich przygotowany wcześniej poczęstunek; inni rozmawiają z rycerzami, dopytują, dotykają, podziwiają i fotografują; odważniejsi wkładają na głowy hełm, machają toporkiem.

I pomimo tego, że gorąco sprawia, iż na twarzach obu panów zaczynają pojawiać się kropelki potu, widać, że są zadowoleni z zainteresowania ludzi, z ich żywej reakcji i wielu, często niezwykłych i naprawdę dociekliwych pytań.

Cichą zazwyczaj czytelną wypełnia więc gwar rozmów. Jednakże i on zaczyna niedługo cichnąć. Śmiech zanika, głosy milkną.

Lecz... nie na długo. Za kilka dni odbędzie się przecież kolejna wystawa...



O życie współczesnego rycerza zapytaliśmy regionalne bractwa rycerskie

Bractwo rycerskie kojarzy się nam zwykle z turniejami i pokazem walk mężczyzn zakutych w stal i uzbrojonych w masywne miecze. Czy takie wyobrażenie odpowiada prawdzie? Czy współczesne bractwo rycerskie to tylko walki i turnieje?

dr Michał Wróbel, BRZO: Absolutnie nie. Walka podczas turnieju lub inscenizacji bitwy stanowi swego rodzaju wierzchołek góry lodowej. Udział w tym widowisku musi być jednak poparty długim szkoleniem sprawnościowym, a z drugiej strony gruntownym wykształceniem historycznym oraz przygotowaniem, nierzadko własnoręcznie, sprzętu (bronii) i stroju.

Jacek Szporko, BRGZ: Przede wszystkim nasze współczesne wyobrażenia, dotyczące rycerstwa, są skażone licznymi filmami niskiej klasy made in USA... Prawda jest taka, że przeciętny miecz ważył niewiele więcej niż 1,5 kg, a zbroja raptem 25 kg. To mniej więcej tyle, co waga wyposażenia współczesnego żołnierza... Współczesne bractwo to nie tylko walki, to przede wszystkim odwrotstwo historyczne. Natomiast jeśli chodzi o turnieje – to zapraszam! Działania pozaturniejowe dotyczą szerokiego zespołu zjawisk – różnych i innych.

Bitwa pod Grunwaldem jest okazją do sprawdzenia swoich możliwości. Jak wyglądają przygotowania do tego wydarzenia? Jak liczna jest grupa walczących pod Grunwaldem?

MW: Bitwa pod Grunwaldem jest ważnym punktem „rycerskiego” sezonu, ale nie jedynym. Na pewno robi wrażenie na turyście (liczny, barwny tłum uczestników). Natomiast już dla osób, które zjadły przysłowiowe zęby na rycerstwie, udział w bitwie kojarzy się raczej z długim marszem na pole, a potem manewrami i ruchami wojsk. Tym samym, niestety, z roku na rok coraz mniejszą możliwością walki. Tzw. „Grunwald” jest przede wszystkim jednak okazją do spędzenia kilku dni (ok. tygodnia) w towarzystwie największej grupy ludzi o wspólnych zainteresowaniach. Często pochodzą z odległych zakątków kraju i na co dzień wspólny kontakt mają utrudniony. Nie można jednak mówić o jakimś szczególnym przygotowaniu. Na sezon składa się kilkanaście różnych turniejów (choćby tydzień wcześniej w niedalekiej Nidzicy), które pochłaniają tyle samo energii, a często oferują niewiele mniej, jeśli nie znacznie więcej atrakcji (równie napięty program: przemarsz uczestników / turniej walk na miecze i tarcze / turniej walk na miecze długie / walki grupowe / konkursy sprawnościowe – rzut oszczepem czy toporami / występy kuglarzy) w bardziej kameralnym gronie. Nasza grupa, tj. Bractwo Rycerskie Zamku Olsztyn, będzie uczestniczyć w grunwaldzkiej inscenizacji w liczbie około 20 osób, z czego połowa to zbrojni.

JSz: Liczba ludzi walczących pod Grunwaldem zmienia się z roku na rok. Czasami jest to tysiąc osób, a czasami nawet do trzech tysięcy, w tym roku – kto wie... Przygotowania do bitwy są silne, szczególnie kulinarne. Oczywiście każdy z walczących jest przygotowany psychicznie, fizycznie i sprzętowo.

Czy są „rycerki”? Jaką rolę pełnią w bractwie kobiety?

MW: Nie ukrywam, nie lubię takiego określenia. Niesie ze sobą zabarwienie raczej prześmiewające uczestników ruchu rycerskiego... Jednak odpowiadając na pytanie – kobiety walczące w zbroi i z mieczem w ręku na równi z mężczyznami stanowią (szacunkowo) zaledwie promil w skali całego kraju. Nie oszukujmy się, rycerzem zostawał tylko mężczyzna, a my cenimy sobie odwrotność historyczną na wysokim poziomie. Poza tym do tego dochodzą względy kondycyjne (walki nie są ustawiane, trzeba to traktować

podobnie jak sport wyczynowy). Niemniej jednak kobiety miały i mają wcale nie mniej ważne funkcje:

- nieoceniona pomoc we wszelkich pracach obozowych,
- pięknie ubrane damy dworu dodają blasku zbrojnym,
- w turniejach lucznicznych okazują się nie mniej celne od mężczyzn.

A co najważniejsze – tak samo dobrze się bawią, poznają historię i przeżywają przygodę, jaką jest odwrotstwo średniowiecza...

JSz: Oczywiście, że są, a rolą ich jest to, że są i pachną...

Obecnie mamy dość cukierkowe wyobrażenie kodeksu rycerskiego. Czy dziś można żyć według takich zasad? W jakim stopniu „rycerze” z bractwa zachowują te idee w swoim życiu codziennym?

MW: Właśnie, „cukierkowe” wyobrażenie podsycane przez media, które nierzadko z przymrużeniem oka poruszają temat rycerstwa, zwykle tuż przed zbliżającymi się obchodami bitwy grunwaldzkiej... bitwy, gdzie starły się dwie potęgi ówczesnej Europy. Ale to była bitwa totalna, prawdopodobnie nie do końca rycerska (wzięły tu udział wojska zaciężne i piechota / z pewnością nie wszyscy dawali honorowe gesty)... Prawdopodobnie mało kto pamięta, że starcie „prawdziwie rycerskie” (też polsko-krzyżackie), w oparciu o kodeks honorowy, z indywidualnymi pojedynkami i przerywaniem walki na czas odpoczynku, odbyło się kilka miesięcy później, pod Koronowem. Zasady rycerskości każdy stosuje w swoim życiu według własnego uznania i nie trzeba być uczestnikiem ruchu rycerskiego, aby się do nich stosować (i z pewnością odwrotnie). Bractwo to tak jakby druga rodzina. To nie tylko wspólna pasja, równocześnie rodzą się przyjaźnie, małżeństwa. A pomoc w potrzebie jest równie częsta jak nieformalne spotkania towarzyskie.

JSz: Nie można dziś żyć wg kodeksu rycerskiego, ponieważ dzisiejszy rząd zostałby obalony, a większość polityków miałaby spotkanie z katem... Tyle jeśli chodzi o średniowieczne rozumienie honoru (bardzo tego brakuje – honoru, szczególnie politycznego – żart). Część osób, które biorą udział w życiu bractwa rycerskiego – to ludzie, z którymi „można konie kraść”.

Bractwo Rycerzy Gwiazdy Zarannej Zamku Ostródzkiego stanowi obok Drużyny Rycerskiej Komturii Ostródzkiej skład Ostródzkiej Grupy Rekonstrukcji Historycznych. Organizują one pokazy walk bronią białą i drzewcową, prezentują strzelanie z luków, kusz, hakownic i bombard. W programie Bractwa znajdują się turniejowe pojedynki oraz zdobywanie warowni i napady na uspione wioski. Rycerze dbają o zachowanie historycznego charakteru odzieży i uzbrojenia. Specjalnością drużyny jest własnoręcznie przygotowany gulasz rycerski, serwowany podczas biesiad średniowiecznych w Ostródzie.

Stowarzyszenie Kultury Średniowiecza „Bractwo Rycerskie Zamku Olsztyn” powstało w 1997 roku i jest najstarszą aktywną tego typu grupą w regionie Warmii i Mazur. Tradycją oręża nawiązuje do chorągwi Kapituły Warmińskiej, której zbrojni ówczesznie tu stacjonowali. Członkowie stowarzyszenia biorą udział w licznych krajowych turniejach rycerskich. Również reprezentowali Polskę i miasto Olsztyn na wielu zagranicznych festiwalach historycznych, m. in. podczas państwowego święta Litwy (obchody koronacji jedyne litewskiego króla) w Trokach albo w kolebce ruchu krucjatowego Clermont (Francja). Strona: www.brzo.olsztyn.pl/.

Plener „Grunwald Art 2009”

organizator:

Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego
i Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie

Wiesław Bieńkuński – z cyklu Pejzaż 2009 olej płótno, 70 x 60



Joanna Milewicz – Ambona 2009 akryl na płótnie

